STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(Dokończenie).

„Chaosu lotem zmierz przestworze
i pal i depc i siecz i płuż“.

Snadnie powtórzyć można te słowa, mając dokonać rozbioru Wyzwolenia (z r. 1902). W nich bowiem streszcza się i treść utworu i jego forma. A ten kształt zewnętrzny, że o nim najprzód powiemy, dziwnym jest. Wierszowane wskazówki sceniczne miało się już u Wyspiańskiego, ale nigdy w tej ilości i w tych rozmiarach, co tutaj. Możnaby w nich widzieć kaprys, zabawkę, marnotrawstwo poetyckie, kurateli nie podlegające. Lecz jeśli objaśnienia teatralne są wierszem pisane, a ustępy dyalogu bardzo często prozą — i to prozą zaiste prozaiczną — to takie „odwrócenie wartości“ jest dziwactwem umyślnem, wynikającem chyba z dążenia do oryginalności za wszelką cenę. Powtóre zaś, co powiedzieć na te objaśnienia, które tłumaczą rzecz, bez nich istotnie albo wcale nie, albo mało zrozumiałą. Gdy Konrad z końcem drugiego aktu z rąk Hestii bierze pochodnię, Wyspiański w notatce scenicznej pyta widzów:

„A może wy nie wiecie,
co to znaczy pochodnia?“

i w dziewięciu zwrotkach ten symbol tłumaczy. Ba, nawet na końcu dramatu, gdy przed Konradem zawarte są wrota, poeta znowu sam od siebie w dłuższym wywodzie przemawia, co stanie się z brzaskiem dnia z jego bohaterem. Wyspiański pisał dla teatru, w jego przedstawieniu dramaty żyć dopiero będą; ale co wtedy się stanie z temi scenicznemi objaśnieniami, koniecznemi dla zrozumienia tekstu? Jak teraz, mając książkę, teskni się do teatru, tak wtedy rozwikłania łamigłówek teatralnych żądać się będzie od książki. Punkt wyjścia akcyi natomiast nie jest w literaturze powszechnej niebywałym. Ztąd ani nie można chwalić bezwzględnej oryginalności poety, ani nie można — jak to uczynił pewien poważny krytyk — gniewać się, że „czego jeszcze nigdy nie było na świecie, to, że po podniesieniu kurtyny ukazuje sie scena, jak ją Pan Bóg stworzył czy budowniczy wystawił, w stanie natury, bez żadnych dekoracyj“. Owszem, to już było: bardzo dawno w Sakuntali Kalidasy, później w pierwszej części Fausta Goethego *(Vorspiel auf dem Theater)*; tę zwłaszcza scenę początek Wyzwolenia zupełnie przypomina.

Na scenie więc Konrad, z daleka idący, w kajdanach, spotyka robotników teatralnych, których poeta odrazu w krąg swoich symbolów wciąga („Synowie nasi zburzą, co my budujemy. Burzymy, co zbudowali ojcowie nasi“). W rozmowie z Reżyserem i z Muzą Konrad już wyraźniejszym się staje: chce „wyzwolin“, a „kochanka jego zwie się: wola“, idzie, „by walić młotem“. Na razie jednak żąda przystrojenia narodowej sceny, a posłuszna Muza w pięknych wierszach wzywa wszystkich, co się smucą i czoła kryją na polskiej ziemi, obiecując wyzwolenie tym, co własną wolą są wyzwoleni. Zapełnia się zwolna scena rzeszą zaproszonych: przychodzi Karmazyn i Hołysz, Prezes, Przodownik, Kaznodzieja, Prymas, Mowca, Ojciec, Syn, Harfiarka, Samotnik — wszyscy nietylko sami smutni, ale smutek wzbudzający, takie z nich zatęchłe wieje powietrze. Kto oni? Przedstawiciele Polski? Przedstawiciele całej Polski? I Polski jakich czasów? dawnych czasów, a w takim razie, jak dawnych? dzisiejszych? w takim razie to jednostronność, z umysłu fałszywa. Na tę tłumną scenę wchodzi Geniusz: „jako posąg jego postawa; jako spiżowe pokrywy jego ubiór i strój jego: Sława. Na czole wiecha ogromna zeschniętej ostu gałęzi“. Kto on? W teatrze krakowskim Geniusz był podobny do głowy Mickiewicza według pierwszego modelu rygierowskiego pomnika. Pierwsza odsłona zapowiada dalszą treść: tłumy czekały na Konrada, przyszedł Geniusz. Domyślać się wolno, że

walka pomiędzy nimi będzie osnową sztuki. Że zaś Geniusz jest ucharakteryzowany na Mickiewicza z późniejszych lat, a Konrad znowu, zapewne na życzenie autora, podobnym był do młodego Mickiewicza, będzie to zapewne spór młodzieńczych ideałów Mickiewicza z późniejszymi, może więc myśl zbliżona do starolitewskiej sceny w kopule kościoła św. Piotra z Legionu.

Druga odsłona zobowiązania z początku nie spełnia. Konrad jest na scenie w słownych utarczkach nie z Geniuszem, ale z dwudziestoma dwiema po kolei się ukazującemi Maskami. Poeta mówi tu w objaśnieniu, że „maski znaczyć mają takich, co myśl swą ukrywają i nigdy jej nie stawią jasno, cudzą jest czyli ich jest własną“. P. Wasilewski widzi w nich znowu „szereg kłamstw konwencyonalnych, nurtujących społeczeństwo“, co mniej więcej na to samo wychodzi. Dla rozbioru zasadniczej myśli Wyzwolenia ta ogromnie długa, na scenie nużąca dysputa Konrada z Maskami jest w gruncie rzeczy obojętna. Nie, żeby w niej nie było treści. Przeciwnie, na każdej stronie nastręczają się tu ogromnie ciekawe tematy dyskusyi. Np., gdy Konrad mówi: „A co mi jest wstrętne i nieznośne, to jest to robienie Polski na każdym kroku i codziennie... To manifestowanie polskości... Bo to tak wygląda, jakby Polski nie było, Polaków nie było... Jakby ziemi nawet nie było polskiej i tylko trzeba było wszystko pokazywać, bo wszystkiego zostało na pokaz, po trochu; pokazywać, jakby srebra stołowe w zastawie; pokazywać, jakby kartki i karteczki zastawnicze — i kryć się i udawać i udawać“. To byłby doskonały temat do dyskusyi, gdyby Maska (tym razem 11-ta) coś więcej tu mówiła, niż raz „Ach?“ a dwa razy „?“. Dramatycznie jednak te wszystkie przemówienia Konrada są mało ważne, nawet nie wiele się przyczyniają do jego charakterystyki, tyle w nich niejasności lub wprost sprzeczności. Wystarczy jeden przykład: Nienawiść uważa za „potężniejszą niż miłość“, a przecież całe jego działanie na miłości jest oparte; albo: „co mnie obchodzi przedewszystkiem mój naród?“ — a przecież on dla narodu żyje. To też dobrze się dzieje, że nareszcie przydługa scena z Maskami się kończy. Poecie samemu za ciasno było w jej ramach: przerywa je prześlicznymi wylewami lirycznego uczucia, n. p. gdy Konrad w ciągu rozmowy z 19-tą Maską cudownie wypowiada swą tęsknotę za wiejskim krajobrazem lub gdy po zniknięciu ostatniego widma wznosi czyste modły do Boga:

„Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,

by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą."

Pokrzepiony widokiem szczęścia rodzinnego bierze zapaloną pochodnię z rąk Hestyi, jedynego dotąd na szczęście remanentu greckiej mitologii. Druga odsłona, tyle czasu zajmująca, nie prowadzi więc naprzód problemu utworu a do rozwoju charakterystyki bohatera nieznacznie tylko się przyczynia. Ideową treścią podobna jest do W e s e l a z tą smutną różnicą, że co tam przetopione zostało na dramatyczny metal, tutaj występuje w surowej rudymentarnej formie. Kto wie, czy nie lepszem wyjściem byłby już nie przerywany małomownemi interpelacyami Masek długi monolog Konrada: w takim razie bowiem z konieczności musiałby autor po dziennikarsku tutaj traktowaną treść przyowlec w płaszcz poetycki, bodaj na znaczną odległość dorównywujący nieśmiertelnej piękności I m p r o w i z a c y i innego Konrada. Wtedy ten płaszcz byłby przysłonił także pewne bądź niedokształcenia bądź przekształcenia myślowe.

Akt trzeci, w katedrze na Wawelu, wraca do postaci pierwszego. Geniusz stoi wśród tej gromady i wzywa ich znowu:

„Wprowadzę was w świątynię, tum,
potęgi waszej, waszych dum.
Wewiodę was nad groby łez,
byście nikczemność widząc ciała
ujrzeli okiem żywem KRES:
Śmierć, która cuda działa!"

I „za Polski Śmierć-Odkupienia" chce wychylić trujący Toast. Wtem wpada Konrad, niosąc pochodnię, „nienawiść niosąc palącą", protestuje przeciw otwieraniu grobów przez Geniusza, gotów przekląć krzyż, Chrystusa godło za uwiedzenie męką narodu, wytrąca Geniuszowi czarę i rzuca mu w twarz gorącą lawę zabijających zarzutów (szkoda, że prozą pisanych): „Harpjo narodu! Siły ssiesz nasze i spalasz je w czczy dym... Chcesz, abyśmy pamięć wlekli w mąk kaźnie i więzienia i wyrzekali się blasku dnia dla litości onych, co marli męczeni a ginęli katowani. — tych dola nie naszą będzie dolą, ani wołaniem. Wołaniem oto naszem zwycięstwo! Zwycięstwo Hasłem i Wolą!" itd. aż do okrzyku: POEZYO PRECZ!!!! (wyraźnie: cztery wykrzykniki). JESTEŚ TYRANEM!! (tylko dwa). Geniusz ucieka na głos chóru „A kysz, a kysz..." Spocznijmy trochę, chociaż akt jeszcze nie

skończony. Jeśli Konrad ma być wyobrażeniem młodego Mickiewicza a Geniusz przedstawia starszego, uwikłanego już w sieci mistycyzmu, to pomijając już kwestyę, który bardziej nadawał się do roli przewodnika narodu, ostatni okrzyk Konrada jest całkowitą niekonsekwencyą, bo neguje wszelką wogóle poezyę jako czynnik narodowego życia i rozwoju. Niekonsekwencyą jeszcze bardziej rażącą jest ten wyrok potępienia, jeśli przyjmiemy, że Konrad z Mickiewiczem nie ma nic wspólnego, za to tem więcej z samym Wyspiańskim. Że okrzyk „poezyo precz“ w ustach poety jest błyskotliwym paradoksem bez treści, nad tem chyba rozwodzić się nie potrzeba; że jest nim tem bardziej w ustach Wyspiańskiego właśnie, dążącego — ze skutkiem niejakim — do owładnięcia narodem przez poezyę — to jest jasne jak słońce. Pozostaje więc jako jedyne wyjście przypuszczenie, że Konrad w zapale zapędził się za daleko, że nie potępia poezyi w ogólności, tylko pewną poezyę, przez Geniusza reprezentowaną. Lecz ze stanowczym sądem trzeba się wstrzymać do końca dramatu.

Już do niego blisko. Konrad oszołomiony zwycięską walką znowu jest w otoczeniu aktorów, którzy patrzą na niego z podejrzliwością, czy nie chorego mają przed sobą. Gdy wszyscy odeszli, a północ bije na zegarze wieżowym, Konrad jest w niepewności, w rozpaczy: „Czy jesteś Polsko — tylko ze mną?“. „Z głębin, gdzie zapadł złoty róg, wylęgłe wstają widma trwóg“: Erinnie, a on wyrwać się ztąd nie może, bo „ryglem wrota zwarte“. Tu koniec mówionego na scenie dramatu. Więc znowu zbadajmy, co z niego wynika. Z dotychczasowego tekstu okazuje się, że Konrad odrzuciwszy „poezyę precz“, szamoce się sam w ciemnościach, opuszczony przez wszystkich, smagany biczem bogiń zemsty. A więc tamten czyn ani jemu nie przyniósł wyzwolenia, ani otoczenia dla niego nie zjednał, czyli że był co najmniej bezpłodnym. W ten sposób poeta cofałby się niejako ze stanowiska zajętego z końcem drugiego aktu, dramat kończyłby się raczej potępieniem niż apoteozą Konrada, a więc przez to i odwołaniem hasła: „Poezyo precz“.

Ale jest jeszcze wspomniana już wierszowana konkluzya, jedna ze scenicznych objaśnień, na scenie zapewne nie mówionych (a może tutaj deklamowałby ją jaki Epilogus?). Tu poeta zapowiada, że gdy „w kościele zaczną się roraty — znajdzie się ktoś, co przyjdzie tam z kluczami, (może wyrobnik, dziewka bosa) i pierwszy uchyli wrot“, a wtedy „Konrad-Erynnis z Erynniami... wybieży w świat na lot... jako ten wasz czterdziesty czwarty:

w naród wołając: WIĘZY RWIJ!!!“ W tem jest już chyba podstawowa myśl Wyzwolenia. A jeśli tak, to jednak wrócić trzeba do końca drugiego aktu, który tutaj znajduje zatwierdzenie. Wyspiański potępia więc Geniusza i jego wpływ na naród, potępia „naszego“ (więc nie swojego) Mickiewicza i obiecuje w przyszłości uwolnienie od niego, dokonane „może“ przez „wyrobnika, dziewkę bosą“, coby oznaczało niższe warstwy społeczeństwa, proletaryat. Potępienie romantyczno-mistycznej poezyi nie po raz pierwszy w Wyzwoleniu się pojawia: przy Kazimierzu Wielkim zaznaczyliśmy już, że tam jest, po bliższy rozbiór do tego dopiero ustępu odsyłając:

„I nazywali królami tych marnych,
którzy się w własnym lubowali jęku:
co twarze przysłoniwszy w kirach czarnych,
Stawali przed narodem z harfą w ręku;
serca na stołach palili ofiarnych,
durząc się dymem, przy harf rzewnym brzęku;
a chodząc w kołach z lauru drzew, uszczkniętych,
przyrównywali się do polskich świętych.“

Podobieństwo tych zdań do myśli Wyzwolenia jest oczywiste. W Kazimierzu W. ogólne potępienie poezyi romantyczno-mistycznej, tutaj na pierwszym planie Geniusz, uosobienie Mickiewicza, lecz ubocznie i Słowacki także jest wspomnianym (na str. 50, gdy Chór pyta, kto to przybędzie, czy nie Anhelli, wróżka zapowiadająca Konrada żywo protestuje: „Anhelli? — Nie“). Myśl tę Wyspiańskiego, przed laty w rapsodzie, teraz w dramacie wypowiedzianą, mamy za fałszywą, ale nie uznajemy za stosowne uzasadniać to, bo co ważniejsza, uważamy ją za sztucznie przez poetę z przeszłości na teatr dzisiejszego narodu wyciągniętą. Wyspiański — nawet, gdyby miał słuszność — walczy tu z maniakami, jest tragicznym Donkiszotem, a, co chociaż na paradoks zakrawa, jest tylko ironią losu, dopędza zupełnie niepotrzebnie dawnych „stańczyków“, którzy przecież także „poezyę precz“ odgonili od życia bieżącego narodu i to tak gwałtownie odgonili, że aż dzisiaj — nowy obraz ironii losu — ujmują się za nią przed Wyspiańskim. Wyzwolenie wypowiada myśl co najmniej od dwudziestu lat przesądzoną.

Jeszcze tylko jedno dzieło Wyspiańskiego mamy przed sobą, a krócej o niem, niż o kilku poprzednich powiemy. Bo cóż da się wogóle powiedzieć o Akropolis (z r. 1904), jeśli krytyk

chce nie snuć własne fantazye, ale usiłować wniknąć w zamiar twórcy. Wysiłek byłby tutaj daremny — jedyny raz u Wyspiańskiego na prawdę daremny. Świadczę się tak nieuprzedzonym sędzią, jakim jest p. Jan Sten, który w Krytyce równie często jak p. Ortwin o poecie pisał, tylko bez zastrzeżeń redakcyjnych. Dla niego „Akropolis istotnie nie ma treści: nie pojmuję, dlaczego właśnie takie wyrazy składają się na ten dramat, dlaczego w takim właśnie są ustawione porządku, takiemi wyrazami mówią“. Treść Akropolis oczywiście ma, lecz tylko w materyalnem znaczeniu, tych „czterech aktów“ rzekomego dramatu nic z sobą nie wiąże razem, ich skojarzenie daleko luźniejsze niż przy Legionie, który nosił przecież nie „dramatu“ miano lecz „scen dwunastu“. Symptomatyczną rzeczą jest, że ten utwór jedyny z dramatycznych, ma objaśnienia obrazkowe i muzyczne, więc powinienby się jaśniej od innych tłumaczyć, a tymczasem on jeden na zawsze zagadką pozostanie, której rozwikłać nawet próbować nie można.

Rozbić go trzeba więc na części, na cztery akty, raczej samodzielne obrazy, czasem jeszcze każdy z nich na drobniejsze cząstki, a wtedy obok błahych ujrzy się bardzo ważne, obok bladych bardzo piękne. Już pierwsza scena w katedrze na Wawelu w nocy, jako pomysł jest niezwykle śmiałą i świetną. Że w teatrze ludzie kamienieją, to często się zdarza, że posągi żyją, już rzadziej, nigdzie z taką mnogością i wyłącznością jak tutaj, gdzie ludzi nie ma, są tylko kute z marmuru, lane ze srebra postaci poruszające się, mówiące jak żywe. Pomysł to zapewne barokowy: ci aniołowie podtrzymujący trumnę św. Stanisława, niewiasta i Amor z pomnika Ankwicza, pani z pomnika Skotnickiego itd. I chociaż dziwaczne, działałoby to niewątpliwie potężnie, gdyby te ożywione posągi o czem innem i inaczej z sobą rozmawiały. Ale gdy treścią ich pogwarów jest tylko gruchanie miłosne, bardzo ziemskie i bardzo swobodne, to monumentalność formy kłóci się z potocznością treści, a świetność pomysłu w wykonaniu staje się bezmyślnym kaprysem. Prawda: Klio i Tempus prowadzą poważniejsze rozmowy, ale tylko poważniejsze w tonie, konwencyonalne w treści. Drugi obraz to Troja nadwiślańska. Czemu nadwiślańska nie wiemy, bo ci ludzie wyglądają zupełnie na trojańskich Trojańczyków. Co więcej, zdaje się nam, że oni mają tym razem więcej historycznego charakteru, niż w dziejącej się pod rzeczywistą Troją Achilleidzie. Więc sceny to ładne, zwłaszcza pożegnanie Hektora z Andromachą, może piękniejsze niż

schillerowskie, bo mężniejsze. Prawda, że i tu są skazy, prawie umyślne; n. p., gdy Helena żegna się z rodzicami słowem „Pa-a!“ a Parys jeszcze dziecinniej: „Pa-a mamo!“ Dzwony z Maryackiej wieży, z poprzednią akcyą chyba niczem się nie łączą, ale same przez się dzwonią dźwięcznie i melodyjnie. Kassandra Wyspiańskiego natomiast nie dochodzi do złowieszczej grozy Kassandry Kochanowskiego. Trzeci akt polskości ma w sobie li tyle, że polskiem słowem — bardzo ładnem — parafrazuje wiszące niegdyś w katedrze gobeliny, przedstawiające historyę biblijnego Jakóba. Próby tłumaczenia, czego lub kogo symbolem w Polsce ma być Jakób lub Ezaw, nie podejmujemy się: z góry dociekanie za daremne uważając. W akcie czwartym „król-pieśniarz“ dźwiga niemal cały ciężar opowiadania, mimo to wznosi się w górę ku cudnemu zjawisku: wjeżdżającemu na rydwanie Apollinowi-Chrystusowi, skojarzenie postaci i pojęć w nowoczesnej poezyi dość częste, że wspomnimy tylko Ryszarda Dehmla. Odzywa się pieśń Zmartwychwstania „nad ludem, nad ziemią, nad polską ziemią krwawą, nad Akropolis, kędy drzemią królowie i ich prawo“. Ech ona głębszych nie budzi, jak i cały „dramat“, który jeśli zapewne w jaźni poety coś wielkiego znaczył, dla czytelnika jest tylko obrazem różnorodnych obrazów.

* * *

„Otośmy drzewa na jesiennej słocie
i kłosy zżęte, rzucone na wichrze.“

Umarł, mając lat trzydzieści ośm. Tak wcześnie nie zgasło wielu z poetów, nawet nie ci, których przedwczesną śmierć się opłakuje: ani Schiller (lat 46), ani nawet Słowacki (lat 40); z wybitnych poetów wcześniej od niego ustąpili z tego świata Novalis, Petöfi, Byron i nasz Malczewski, w równym wieku zmarł Puszkin. Zamilkł Wyspiański w chwili, gdy dzieło za dziełem jeszcze wydawał, jakby się w przeczuciu zgonu śpieszył...

Po ludzku biorąc, żal ściska serce na widok tak przedwczesnej śmierci; ale z drugiej strony to samo ludzkie uczucie powiada, że śmierć była dla niego wybawieniem z mąk życia, niekiedy nad miarę bolesnego. A sąd literacki? Ten musi przytłumić ludzkie uczucie i z całą brutalną przedmiotowością zapytać: czy

ten wczesny zgon dla poety był korzystnym czy nie. Wychodzimy z dwóch danych, których prawdziwość żadnym nie podlega wątpliwościom. Po pierwsze faktem jest, że Wyspiański do ostatniej chwili zażywał popularności, w której żaden inny żyjący poeta mu nie dorównywał. Po drugie jednak tak samo niezbitym faktem jest, że kilka ostatnich jego dzieł nie obudzało silniejszego odzewu, że mówiąc po kupiecku, egzemplarze tych utworów w handlu księgarskim szły bardzo licho. W tem oczywiście jest sprzeczność wewnętrzna, sprzeczność, która długo trwać nie mogła. Co byłoby po niej nastąpiło: czy stopniowe osłabienie się popularności poety, czy odrodzenie zajęcia, dawniejszemi dziełami rozniecanego? Stawiając tak to zagadnienie, dotąd nie rozważane, lecz narzucające się despotycznie każdemu, piszącemu o Wyspiańskim już po jego zgonie, musimy zbadać oba wchodzące w grę czynniki: i popularność poety i stan jego talentu w ostatnich latach przed śmiercią.

Popularność Wyspiańskiego była zaiste olbrzymią: jego imię, tytuły jego dzieł, cytaty z nich były — i są jeszcze w chwili, gdy to piszemy — na ustach wszystkich, wyjąwszy małą garstkę stojących na uboczu z niechęcią w sercu i w rozumie, których wyrazem jest profesor Tarnowski. O „koteryi“ Wyspiańskiego mówić nie wolno, najprzód dlatego, że pojęcie to wymaga czynnego udziału środka „koteryi“, a Wyspiański przenigdy się sam nie reklamował, przeciwnie dla sławy swojej i rozgłosu mniej zachodów czynił, niż wielu ze współczesnych poetów, przedewszystkiem zaś z tego powodu, że utwory jego najskwapliwiej były drukowane przez redakcye czasopism o tych skrajnie przeciwnych społecznych, politycznych lub religijnych poglądach, jak jezuicki Przegląd powszechny i socyalno-demokratyczny Naprzód, konserwatywny Czas i postępowa Nowa Reforma. Zapewne, że jak zawsze tak i tutaj niemało zdziałał nacisk pewnej grupy na całe społeczeństwo, lecz ani w tem „koteryi“ widzieć nie można, ani niepodobna nie uznawać faktu, że z tych czy owych powodów za Wyspiańskim szło całe bez mała polskie społeczeństwo. To fakt imponujący, przeczyć mu nie można, zarazem jednak niegodnem krytyka byłoby korzyć się przed nim bałwochwalczo, zrzekać się conajmniej prawa jego analizy. A ona nam na to zjawisko rzuci światło, wykrywające wiele rzeczy, publicznie dotychczas nie wyznawanych. Najprzód wykaże ona, że w narodzie polskim bardziej niż w innych szczęśliwszych, literaturę po lite-

racku tylko mogących sądzić, istnieje konieczność obrania sobie w każdej chwili poety, którego uważałoby się za przywódzcę a zarazem uosobienie ducha narodowego, aktualnych jego dążeń, wierzeń i poglądów. Gdy byłem uczniem gimnazyalnym, razem z rówieśnikami uczyłem się na pamięć poezyj p. Franciszka Nowickiego, który dzisiaj w żyjącej poezyi nic nie znaczy. Starszego, na Uniwersytecie, zastał mnie zapalny kult p. Kazimierza Tetmajera, dzisiaj zapewne nie mającego już nawet pretensyj do porywania za sobą całego narodu. Potem przyszedł p. Stanisław Przybyszewski, w obecnej chwili również poza nawias narodowego życia usunięty, potem Wyspiański. Tu jedna nawiasowa uwaga: Kto znając polskie społeczeństwo i wiedząc, że ono tylko za poetą idzie, a nie n. p. za mężem stanu, jak Niemcy (Bismarck), Włosi (Garibaldi) itp., kto, być może, że bolejąc nad tym faktem, niemniej jednak uznać go musi, ten nie powinien wobec kultu Wyspiańskiego bezwzględnie odpornie się zachowywać, choćby dlatego, że zluzował on kult Przybyszewskiego, a nie ulega chyba wątpliwości, który z nich dla polskiego ducha był zdrowszy, jak również nie wiem, kto ze współczesnych poetów zająłby ten, po Przybyszewskim opróżniony tron, gdyby na nim Wyspiańskiego od czasów *Warszawianki* a zwłaszcza *Wesela* nie posadzono.

Lecz stwierdziwszy, że Wyspiański uważany był w ostatnich latach za arcykapłana współczesnej Polski, nie wytłumaczyliśmy jeszcze, czy obiór króla istotnie z całą samowiedzą został dokonanym.

Naszem zdaniem powszechny kult Wyspiańskiego polegał w znacznej części na pomyłce, na złudzeniu. Postaramy się to szerzej przedstawić. Że nie był on skutkiem jego wybitnych zdolności czysto poetyckich, to pewna: wszak te utwory, które są ich najwyraźniejszem świadectwem, jak n. p. *Klątwa* lub *Protesilas i Laodamia* szerszemu ogółowi są prawie że nieznane. Wyspiański czczony przez naród cały, to nie twórca tamtych dzieł, nawet w mniejszej mierze autor *Warszawianki*, ale przedewszystkiem poeta *Wesela*, *Wyzwolenia* i *Legionu*. Zatem widocznie kult jego wynika nie ze ściśle artystycznych pobudek, tylko z innych, niewątpliwie z ideowych, z narodowo ideowych, jak zresztą temi pobudkami zawsze Polska się kieruje, ile razy poetę na „wieszcza“ pasuje. A te ideowe pobudki na tem zawsze polegają, że dany poeta jest wykładnikiem nastroju naro-

dowego w pewnej chwili, z twórczym talentem i w poetycki, kształt przyobleka zmysłowo to, co naród nieświadomie czuje myśli i marzy, i genialną intuicyę przędzę tych idei dalej snuje, wyprzedzając naród, pociągając go za sobą. Czy Wyspiański jest istotnie takim wykładnikiem polskiego ducha narodowego w obecnej chwili? Odrazu mówimy: nie, stanowczo nie. Jakaż bowiem jest zasadnicza myśl Wyspiańskiego? Jako poeta tragiczny wierzy w mistyczną potęgę śmierci, lecz idea ta, u niego dominująca, w rozważeniu przyczyn jego popularności nie ma żadnego znaczenia, bo da się zastosować do wyjątkowo tragicznych sytuacyj, i to nie narodu całego, nie mniejszego nawet zbiorowiska ludzi, tylko do jednostek. Druga zaś jego podstawowa myśl, to walka przeciw historyzmowi, szczególnie przeciw czarom, przez poezyę romantyczną na naród rzucanym. Czy zapatrywanie słuszne lub nie, o tem już była mowa, tutaj pytamy się tylko: czy zgodnem jest ono z dzisiejszym nastrojem polskiego społeczeństwa? Znowu odpowiedzieć musimy: nie. Że tak nie jest, świadczy o tem tysiące objawów: i obchody rocznic historycznych, i pokup popularnych książek historycznych, i nabite sale odczytowe podczas prelekcyj z tego zakresu — i w dziedzinie poezyi odmienna ale niesłabnąca miłość Mickiewicza. Co więcej twierdzimy, że idea Wyspiańskiego dotyka kwestyi wogóle dla polskiej społeczności dzisiaj już nie aktualnej: myśmy i z historyzmem i z romantyzmem już się załatwili, nie w tem znaczeniu, byśmy go odrzucili precz, lecz oznaczyliśmy już i jednemu i drugiemu rolę w obecnem naszem życiu — a oznaczyliśmy ją bynajmniej nie w duchu Wyspiańskiego — i nie uznajemy potrzeby przedsiębrania rewizyi tego orzeczenia. I oto dochodzimy z tego stanowiska do wniosku, który przeczy rozpowszechnionemu o Wyspiańskim sądowi: mamy go za poetę przeszłości, nie przyszłości. Zwalcza romantyzm, lecz jest jego ostateczną konkluzyą, konkluzyą, jak się to zwykle w dziejach ducha ludzkiego zdarza, negatywną, wrogą, jego samowładztwu ostatecznie kres kładnącą. Bo pytam się: gdzie jest — z jednym, jedynym wyjątkiem drugiej części *Piasta*, rzucającej jednak tylko cząstkowy problem, oraz scenicznego objaśnienia w *Wyzwoleniu* — gdzie jest bodaj jedna myśl jego, któraby nie z przeszłością się zmagała, ale w przyszłość, taką lub owaką wiodła? Nie widzę żadnej, nie widzę żadnej nawet takiej, która, jeśli już nie na jutro, to bodaj na dziś mogła być hasłem, roi się tam natomiast od objawów jednej idei, w przeszłość zapatrzonej.

Skutki tego stanowiska dzisiejszej Polski wobec Wyspiańskiego, są dostrzegalne dla każdego, chcącego tylko widzieć, oka. Obok rozwielmożnionego kultu dziwna nieznajomość poety, poza przytaczaniem napisów dzieł jego i paru ustawicznie w kółko powtarzanych cytatów. Prawda, przyczynia się do tego i zawiłość, niejasność wielu utworów, niemniej jednak skutek to oczywisty instynktownego przeczucia, że jednak idea poety z naszem dzisiejszem narodowem życiem i z jego przypuszczalną najbliższą przyszłością mało, prawie nic nie ma wspólnego. Zahypnotyzowane społeczeństwo o tem nie mówi, zakrzyczałoby każdego, ktoby mu to w oczy powiedział, lecz czyż przez to milczenie usunie się z powierzchni ziemi niezaprzeczalny fakt? A jeśli tak jest, to spytajmy z kolei: czy stan ten mógł długo jeszcze trwać? Chyba nie, zmiana jego byłaby konieczną, musiałaby nastąpić. Mogłaby się dokonać w dwojaki sposób: albo Wyspiański uległby jej, albo jego kult. Wyspiański zmieniłby się, gdyby ideę swoją naczelną zastosował, że się tak prozaicznie wyrazimy, do biegu i rozwoju narodowego samopoczucia: kult jego doznałby zmiany, gdyby społeczeństwo jakiś czas oślepione widokiem wspaniałego „meteoru“ otworzyło przecież w końcu oczy i spostrzegło, że błyskawice zostały w tyle, naród sam poszedł dalej, coraz bardziej od nich się oddalając. Która ewentualność miałaby za sobą więcej prawdopodobieństwa? Nawet gdybyśmy przypuścili, że dobroczynny cud przywróciłby schorzałemu poecie dawną świeżość fizyczną i intellektualną, w możliwość pierwszej zmiany uwierzyć nie podobna. Pamięci zmarłego nie ubliżamy twierdząc to śmiało, owszem najniższy pokłon jej oddajemy, bo wszak zaprawdę wielkim być musiał ten, co sam stał, nietknięty zewnętrznymi, choćby najsilniejszymi powiewami. Ale że zmienić się on nie mógł, to pewna: on od początku do końca jest ten sam, zmianom podlega zewnętrzny objaw jego ducha, ale treść jego jest już od początku w nim, zrazu nieznacznie kiełkująca, później wyrosła, w końcu niestety przerosła. Pomyśleć nawet nie można, nie chcąc niweczyć wszystkiego, co w naszej wyobraźni jako wcielenie Wyspiańskiego się utworzyło, by mógłby on wlać w swe żyły nową krew, bo choćby to była najserdeczniejsza krew narodu, jego krwią już by nie była. A więc?... Jeśli pierwsza zmiana urojeniem niemożliwem jest, to wskutek tego druga musiałaby być koniecznością, czyli że... nadszedłby może już rychło czas, w którym by społeczeństwo polskie spostrzegło odległość dzielącą je od Wyspiańskiego...

Mimo to wszystko dłużni jeszcze jesteśmy odpowiedź: jak wytłumaczyć olbrzymią jego popularność. Jeśli jej przyczyną nie jest nieistniejąca identyczność jego osobistego i naszego narodowego ducha, to gdzież jej szukać, bo jakaś przecież być musi. Tak jest. Wyspiański porwał za sobą prawie wszystkich, bo był z rodu tych potężnych, którzy porywają za sobą ogół nie szczegółową treścią swych myśli i uczuć, ale mocą swej indywidualności, syntezy swego ducha. Wymieniłem kilka poetów, którzy przed nim w opinii publicznej królowali, jeden doniosłem hasłem społecznem, drugi narkotyzującym pesymizmem, trzeci rozpalającym nietzscheanizmem. Ale przyszedł czas, kiedy Polak nie chciał ani burzyć istniejącego świata, ani zamknąć się w komórce swego nędznego „ja“, ani też w egotyzmie za „nadczłowieka“ się uważać: przyszedł czas, kiedy zapragnął być znowu Polakiem, a po latach najprzód martwoty, potem spokoju, rwał się, szamotał, Prometeja uśpionego począł w sobie rozbudzać. I na czasy przyszedł poeta, który był „jak meteor, jak błyskawice“, który wołał „siecz i pal i depc i płuż“, przyszedł duch, pokrewny Słowackiemu, wykonawca jego testamentu, zbrojny w jego „siłę fatalną“, która nas „gniecie niewidzialna“. I poszedł za nim naród, jego huraganem porwany, jego błyskawicami oślepiony, jego pieśnią oczarowany, jego grzmotem ogłuszony. Poszedł, nie wiedząc dokąd, a raczej: że był synem epoki, która poezyę oddzieliła już nie tylko od codziennego życia, ale i od narodowych wskazań, szedł i bez zamiaru rzeczywistego wchłaniania w siebie jego idei i bez obawy by zaszedł tam, dokąd iść nie chce, iść nie powinien.

Zstąpmy niżej. Z mglistych wyżyn narodowego znaczenia Wyspiańskiego schodząc na jasną równinę czystego sądu estetycznego, zastanówmy się nad tem, jaki o nim wydać trzeba, jako o poecie-artyście. Co znaczy on najprzód na tle dzisiejszej poezyi, polskiej i świata całego.

Że ze współczesnych był największym, to pewna: ani równego, ani nawet prawie równego na dzisiejszym polskim Parnasie nie widzimy. Czy był „wielkim“? Kto na to zdoła szczerze, z ręką na sercu odpowiedzieć? Gdzie jest kryteryum prawdziwej „wielkości“, gdzie skala jego miary. Ilu było takich „wielkich“ poetów, wielkich bez cienia małości? Bajeczny Homer, ze znanych Dante, Szekspir, Goethe, Mickiewicz — i na tem chyba koniec. — Co Wyspiańskiego robi tak wielkim, nie jak owi, tutaj wymienieni, ale w naszym czasie największym? Przedewszystkiem olśniewające

bogactwo wyobraźni. Tej w równym stopniu nie posiada ani Tetmajer ani Kasprowicz, ani nikt inny. Prawda, ta wyobraźnia z początku zaraz czasem, a potem bardzo często jest rozhukaną; prawda, że od początku do końca jej konkretny wyraz nie dorównywa jej wewnętrznemu ogromowi — ale owe wady i niedostatki tamtego twierdzenia obalić nie zdołają. Samodzielność Wyspiańskiego jest rodzaju tak dziwnego, że zagadkowością przewyższa nawet tajejemniczość Słowackiego. Ten wchłaniał w siebie mnóstwo pierwiastków, przetwarzał je, ale zawsze zachowywał ich oryginalne walory; Wyspiański gorączkowo to ztąd to zowąd do swych wizyj podniete bierze, ale ponadto pierwotny materyał do niepoznania przemianowuje, co więcej nieraz biorąc go, zwalcza go jednym tchem: takim jest n. p. jego stosunek do Mickiewicza i Krasińskiego z mesyanicznego ich okresu (o tem, że, podobny do Słowackiego, w małym tylko stopniu jest od niego zależnym, była mowa już we wstępie). Niepodobny rozmachem wyobraźni do żadnego ze współczesnych poetów ojczystych, zbliża się już więcej do nich formą: nie stylem i nie językiem, kształconym raczej na archaistycznych wzorach, często gienialnie, czasem dziwacznie odtwarzanych, nie jędrną, niekiedy brutalną obrazowością, nie rytmiką, stroniącą zazwyczaj od wyrafinowanego kunsztu „modernistów", lecz dążeniem tchnięcia w język i rytm i rym nie dającego się uchwycić nastroju. A jak jest sobą, zależnym bardziej od obcych niż od swoich, tak naśladowcy ani nie znalazł, ani zapewne nie znajdzie: próby kopiowania były odepchnięte zostały i przez krytyków i przez szerszą publiczność, bez badania nawet, czy są udałe czy poronione, bo i najsubtelniejszy i najnaiwniejszy Polak odczuwa — tamten świadomie, ten bezwiednie — że Wyspiańskiego, przynajmniej Wyspiańskiego — poetę naśladować i niepodobna i — nie wolno.

Co znaczy w poezyi wszechświatowej? W założeniu trzeba stwierdzić, że zagranica nie zna go zupełnie; we Francyi, Anglii, Włoszech, Ameryce — mówimy tylko o Zachodzie, o słowiańskim Wschodzie wiadomości nie mamy — znają Sienkiewicza, w Niemczech obok niego potrosze i Tetmajera i Kasprowicza i Żeromskiego, oczywiście także i nawpół niemieckiego Przybyszewskiego. Wyspiańskiego nie znają dotąd, nie poznają w pełni nigdy. Nigdy Francuz lub Niemiec nie zrozumie ani *Wesela* ani *Akropolis*, nie pojmie całego czaru nawet *Warszawianki*. Za to *Klątwę*, *Protesilasa* zrozumie i pojmie,

a doprawdy szlachetną ambicyą polskich tłumaczów, niemieckim poetyckim językiem dobrze, ale bardzo dobrze władających, czy może Niemców, polski język znających powinno być dążenie do uprzystępnienia bodaj częściowo Wyspiańskiego narodowi, który z zaciekłością polityczno-narodową łączy od wieków gościnność dla obcych literatur, a te właśnie dramaty neoklasyczne z pewnością życzliwie przyjmie. Brak uznania zagranicy łączy naszego poetę z największymi naszymi wieszczami, z Mickiewiczem i Słowackim. A szkoda, bo Europa nie będzie znać poety, któryby i na tle jej literatury wydał się potężnym meteorem...

Wreszcie, nim pióro odłożymy, spytajmy, jakie są przypuszczalne losy Wyspiańskiego — jako poety, jako artysty, nie jako przywódzcy narodu, jako wieszcza — w bliższej lub dalszej przyszłości. Pytanie ponętne, odpowiedź zawsze niebezpieczna. Tu tem bardziej, że cały szereg dramatow jego nie przeszedł jeszcze ogniowej próby scenicznej, która sama jedna do ostatecznego sądu może uprawnić. Wystawić je trzeba, choćby z samych artystycznych i z czysto przedmiotowych powodów: by ostatecznie zobaczyć całe jego „dzieło“ w teatrze, dla którego było pisanem. Jaką drogą to się stać ma i może, to już do nas nie należy. Z tem zastrzeżeniem, jakżeż sobie wyobrażamy przyszłość Wyspiańskiego? Że z biegiem lat maleć będzie jego znaczenie ideowe, to szeroko powyżej już powiedzieliśmy. Równolegle z tem punkt ciężkości przenosić się będzie i do dzieł czysto poetyckich, jak Klątwa, Meleagen, Protesilas i do tych ideowych, w których idea łatwo jest zrozumiałą a artystyczny kształt również prostolinijnym: więc do Kazimierza Wielkiego, do Warszawianki, wreszcie do Wesela. Tym sześciu dziełom z całej bogatej spuścizny mistrza najdłuższe rokujemy życie, szczerze mówiąc tym tylko długowieczność prorokujemy: a dość ich i tak, by być nieśmiertelnym.

Ponad tem wszystkiem jednak najsilniejszą rękojmią nieśmiertelności poety jest fakt, że jak huragan przeleciał nad współczesnem pokoleniem. O takich nigdy się nie zapomina. Więc możemy na zakończenie przepisać pierwszą oktawę rapsodu o Kazimierzu Wielkim, zwłaszcza, gdy celem uspokojenia literackich krytycznych skrupułów przedostatni jej wiersz nie do przyszłości, ale do współczesnego poecie pokolenia odniesiemy:

„Wielkości! komu nazwę twą przydano,
ten tęgich sił odżywia w sobie moce,

i duszą trwa, wielekroć powołaną,
świecącą w długie narodowe noce;
więc, choć jej świeży grób opłakiwano,
przemoże Śmierć i trumien głaz zdruzgoce;
powstanie z martwych na narodu czele
w nieśmiertelności królować kościele."

W Krakowie, w styczniu 1908 r.

Dr. Józef Flach.

Mieleccy,

dziedziczni na Mielcu panowie.[1]

Ród Mieleckich w Polsce XV. i XVI. wieku był jednym z pierwszych. Wyniósłszy się majątkiem i znaczeniem oraz poparciem dworu królewskiego ponad inne rody, Mieleccy w owym czasie weszli do nielicznego grona tych magnatów, którzy zaznaczali swą wolę we wszelkich dziedzinach działalności państwowo-społecznej, z którymi nawet królowie liczyć się musieli. Szczególniej wiek XVI. był dla Mieleckich pomyślny. Za panowania ostatnich Jagiellonów, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta i za Stefana Batorego, Mieleccy zajmują pierwsze senatorskie godności — kasztelanów, wojewodów, marszałków, dowodzą wojskami Rzeczypospolitej na wojennych wyprawach, gromadzą też w swych rękach liczne starostwa, z których dochody do ich kas płyną.

Jan Mielecki jest w r. 1547 wojewodą podolskim, zostaje starostą chmielnickim w r. 1548, starostą grodeckim r. 1550, marszałkiem wielkim koronnym dn. 21. czerwca 1555 r. i starostą samborskim w r. 1558.

Sebastyan, brat Jana, jest kasztelanem wiślickim roku 1550, starostą brzeskim w r. 1566, zostaje kasztelanem krakowskim w r.

[1]) Szkic niniejszy jest wyjątkiem z większej pracy, poświęconej dziejom ziemi Mieleckiej.

1569. Sprawuje poselstwo do królowej Izabelli węgierskiej wraz z biskupem Andrzejem Zebrzydowskim w r. 1549.[1])

Mikołaj, syn Jana, jest wojewodą podolskim w r. 1572, na akcie z r. 1583 nosi tytuł „Ziemie Podolskiej wojewoda Grodecki, Nowego Miasta Korczyna, Żarnowiecki etc. starosta".[2])

Hieronim, syn Sebastyana, tytułuje się w r. 1583 „Brześcia Kujawskiego starosta", w r. 1596 jest starostą sandomirskim.

Nietylko najwyższe świeckie urzędy zajmowali w tym czasie przedstawiciele rodu Mieleckich. Widzimy ludzi tegoż imienia i na wyższych stanowiskach duchownych. Mikołaj Mielecki, z linii pochodzącej od Waleryana, zostaje opatem tynieckim w końcu wieku XVI.

Przez związki pokrewieństwa Mieleccy wiążą się z najpierwszymi i najpotężniejszymi domami w Polsce: Tęczyńskich, Radziwiłłów, książąt Słuckich Olelkowiczów, Tarnowskich, Chodkiewiczów. Mikołaj Mielecki, syn Jana, pojął za żonę Elżbietę, córkę Mikołaja Radziwiłła Czarnego[3]) na lat kilka przed zaślubieniem przez Zygmunta Augusta Barbary Radziwiłłównej. Córka Sebastyana, Zofia, wyszła za mąż za Stanisława Tarnowskiego, po którego bezpotomnej w r. 1586 śmierci obszerne dobra, jakie posiadał Stanisław Tarnowski, przeszły choć już nie na długo w dom Mieleckich.

Pomimo tej świetności i istotnego znaczenia, jakie Mieleccy w XVI. wieku niezaprzeczenie posiadali, skąpe zaledwie mamy historyczne wiadomości o przedstawicielach tego rodu. Pamiętników żaden z Mieleckich nie pozostawił. Ich papiery rodzinne, o ile można sądzić, zaginęły. Przechowała się pewna ilość listów Mikołaja Mieleckiego do różnych osób pisanych,[4]) dają one jednak

---

[1]) Andrzeja Zebrzydowskiego Korespondencya, nr. 408. Zebrzydowski w styczniu 1549 r. pisał do królowej Bony: „nam miti collega ad id muneris non ex Palatinis quispiam, ut ego cupiebam, sed Castellanus Vislicensis est adsignatus".

[2]) Przywilej z r. 1583 dla proboszcza mieleckiego, zachowany w Archiwum konsystorskiem w Tarnowie.

[3]) Z czterech sióstr:
Krystyna wyszła za mąż za Jana Zamoyskiego;
Zofia — za Achacego Czemę;
Anna — za Mikołaja Buczackiego;
Elżbieta — za Mikołaja Mieleckiego.

[4]) W Bibliotece Raczyńskich, teraz miejskiej w Poznaniu, znajdują się listy Mikołaja Mieleckiego do Radziwiłłów. (Kwart. histor.

nie wiele materyału do charakterystyki ich autora. Z niewielkiej ilości wzmianek dawniejszych dziejopisów lub pamiętnikarzy i z aktów urzędowych z trudem tylko można odtworzyć oddzielne postacie Mieleckich, scharakteryzować ich działalność publiczną i skreślić właściwy każdemu charakter. Sylwetki ich, oglądane po przez mroki przeszłych wieków, są blade, nie tchną życiem, podobne są do bardzo starych portretów, na których kolory wskutek starości wyblakły, osoby na nich przedstawione nie mają rysów indywidualnych, a zbliżają się do typów.

O Janie Mieleckim z kroniki Bielskiego wiemy, że był to mąż „surowy i rządny". Mikołaj był hetmanem „rozumu i dowcipu wielkiego". Takie określenia są zbyt ogólnikowe, brak w nich rysów indywidualnych.

Paprocki, chociaż był świadkiem największego rozkwitu tej rodziny, mało o Mieleckich mówi, a Niesiecki w Herbarzu Polskim pisze, opierając się na wiadomościach podanych przez Paprockiego, że Mieleccy „idą od Klemensa z Ruszczy, wojewody Krakowskiego 1252 r., kiedy się jednak wydzielili od Branickich i z Mielca Mieleckimi pisać poczęli, zgadnąć nie mogę. Najpierwszego pod tem imieniem kładą autorowie Stanisława Mieleckiego, kasztelana Zawichojskiego. Z tym tytułem podpisał list Zygmunta I. w r. 1531 i umiera w r. 1532, czego świadkiem nagrobek jego w Mielcu."

Późniejsze herbarze, nie wyłączając prac najnowszych, zapewne dla braku dostatecznych źródeł, a może i dla tego, że ród dziś już wygasł, o Mieleckich przemilczają.

Poszukując materyału do historyi miasta Mielca, natrafiłem na pewne dokumenty, które dorzucają trochę nowych wiadomości do dziejów panów dziedzicznych na Mielcu. Pozwalają nam one cofnąć się jeszcze o dwa pokolenia w głąb wieków od Stanisława, wymienionego przez Niesieckiego i dają możność poznać gospodarczą działalność sześciu pokoleń panów na Mielcu. Sądzić można, że Mieleccy naśladowali Tarnowskich, z którymi byli skoligaceni. Środki i sposoby, używane przez Tarnowskich dla podniesienia Tarnowa, zostały zastosowane przez Mieleckich dla rozwoju Mielca. Dziedziczni na Mielcu panowie wyrabiali dla swego mia-

---

t. IV. r. 1890, str. 236 w artykule Listy Jana Zamoyskiego do Radziwiłłów 1574—1602). Teodor Wierzbowski w Uchańscianach wydał jeden list tegoż Mikołaja Mieleckiego do Hieronima Ossolińskiego, t. IV, str. 303.

sta przywileje królewskie na prawo odbywania jarmarków, sądzenia się prawem Magdeburskiem, sprowadzali rzemieślników, zatwierdzali przywileje cechowe, starali się o wytworzenie z Mielca punktu centralnego dla całej okolicy. Pod tym względem wyróżnia się szczególniej działalność Stanisława Mieleckiego, kasztelana zawichojskiego. On też wyrobił u biskupa krakowskiego podniesienie mieleckiego probostwa do godności prepozytury, której miały być podległe: kościół filialny w Chorzelowie i kapelania w Jaślanach.

Przywileje wydawane dla miasta zachowały się do naszych czasów, choć drukiem nic z nich nie zostało ogłoszone. Posiłkując się nimi, można nakreślić sylwetki tych panów na Mielcu, którzy z dziejami miasta bliski mieli związek.[1])

Powyższe akta i dokumenty, oraz zapisy zeznane w Aktach Grodzkich na rzecz osób prywatnych, pozwalają nam ułożyć następującą tablicę genealogiczną panów na Mielcu:

---

[1]) Powołuję się na dokumenty następujące, przechowane w Archiwum probostwa mieleckiego, w konsystorzu tarnowskim lub w kopiach i wypisach w tabuli krajowej we Lwowie.

Przywileje cechowe znajdują się w rękach cechów:

1. Przywilej z r. 1595 dla cechu szewskiego, zawierający transumpt przywileju cechowego z r. 1437.
2. Dokument z r. 1452 o nadaniu miastu prawa Magdeburskiego.
3. Akt rozgraniczenia dóbr Mieleckich od Żochowskich z r. 1459.
4. Potwierdzenie nadania prawa Magdeburskiego z r. 1470.
5. Akt kupna przez Jana i Bernarda Mieleckich Wojsławia od Jana Skrzątko z r. 1480.
6. Przywilej króla Aleksandra na dwa jarmarki z r. 1502.
7. Zamiana pewnych gruntów pomiędzy dziedzicem Mieleckim a dziedzicem z Żochowa z r. 1510.
8. Akty kupna Zgórska i Brześcia z r. 1512 i 1514.
9. Przywilej Zygmunta I. na pobieranie myta z r. 1522.
10. Dokument fundacyjny prepozytury mieleckiej z r. 1526.
11. Dział dóbr pomiędzy trzema braćmi, synami Stanisława Mieleckiego, z r. 1542.
12. Przywilej dla cechu krawieckiego z r. 1556.
13. Zrzeczenie się przez dziedziców Mieleckich na rzecz proboszcza mieleckiego prawa do pobierania myta mostowego, jarmarcznego i targowego w Mielcu z r. 1583.
14. Ugoda i postanowienie przyjacielskie między IchMM. Panem Janem Mieleckim a panem Sebastyanem Ligęzą.
15. Akt uposażenia probostwa mieleckiego z r. 1595 przez Zofię z Mieleckich księżnę Słucką.

Stanisław (żyje w r. 1437).

Jan i Bernard, bracia.
| żona Pniowska.

Anna † 1532 za Mik. Firlejem.

Stanisław. kaszt. zawichojski † 1532,
| żona Elżbieta z Tęczyńskich.

Andrzej † 1529.

Jan, wda podolski, 1501—1561,
| żona Anna z Kotów.

Sebastyan † 1575,
| żona Zofia Kościelecka.

Waleryan † 1553,
| żona Kamieniecka.

Dwie córki.

Mikołaj. H. W. K.. † 1585,
| żona Elżbieta Radziwiłłówna.

Hieronim, † przed r. 1597,
| żona Jadwiga de Kosmanicze.

Zofia. żona Stanisł. Tarnowskiego.

Jan.

Stanisław, *S. J.*

Córka za Trzecieskim.

Zofia, 1° księżna Słucka. 2° Chodkiewiczowa.

Katarzyna, żona Ostroroga, wdy poznańskiego.

Anna, 1° Ocieska. 2° Ratowska.

Hyacynt.

Krzysztof.

Marcin, żona Zofia Stanisławska.

Mikołaj, opat tyniecki, † 1604.

Jan, żona Fredrówna.

Krystyna i Katarzyna.

Wnukowie z linii Waleryana posiadali już tylko resztki fortuny Mieleckich: Bren, Dąbrówkę, Mitonin, Wrzoski, ale i z tych posiadłości, w dzisiejszym powiecie mieleckim położonych, ustępują w drugiej połowie XVII. wieku. Ród Mieleckich wygasł w r. 1771.

Początki rodu są ciemne. Mieleccy — to gałęź rodu Branickich, wspólny im obu herb Gryf, ale kiedy na Mielcu osiedli i Mieleckimi zwać się poczęli, jak mówi Niesiecki, kwestyi tej, na podstawie posiadanych źródeł, rozstrzygnąć nie można. Długosz, pisząc o potrzebie pruskiej i bitwie pod Grunwaldem, przy wyliczeniu chorągwi, które w niej uczestniczyły, wymienia jako chorągiew 46-tą oddział Gryfitów, mających za znak swój gryfa białego na czerwonem polu.[1]) Byli więc pod Grunwaldem i służyli wojskowo Władysławowi Jagielle, protoplaści rodu Mieleckich, mógł być i Stanisław, którego przywilej z r. 1437 przechował się do naszych czasów. Nie wiemy, zkąd do Mielca przybyli. Jedną rzecz można przyjąć za fakt pewny, że Mieleccy wzięli swą nazwę od Mielca, że nie oni Mielec fundowali, ale od istniejącej już osady tego nazwiska zwać się poczęli. Na dowód tego twierdzenia można przytoczyć dwa bardzo charakterystyczne szczegóły.

Długosz, któremu wybornie były znane współczesne w Polsce stosunki, opisując w „Liber beneficiorum" kraj nad Wisłoką, gdzie leżały rodowe posiadłości Mieleckich, nie wymienia ich nazwiska. Widocznie w jego czasach rodzina ta nie miała jeszcze tego znaczenia, jakie później zdobyła.

W procesie, który się toczył w wieku XVIII. pomiędzy właścicielem Mielca, Michałem Ossolińskim, kasztelanicem czchowskim, a proboszczem mieleckim, Andrzejem Ankwiczem, kanonikiem krakowskim, poprzednikiem na mieleckiem probostwie ks. Hugona

---

16. Ecclesiae Mielecensis dotatio. Hospitalis Mielecensis dotatio z r. 1599.
17. Nadanie Kacprowi Janowskiemu przez Hieronima Mieleckiego ogrodu z r. 1596.
18. Zamiana gruntów pomiędzy proboszczem mieleckim a Anną z Mieleckich Ocieską.
19. Potwierdzenie przez Karola Chodkiewicza praw plebana mieleckiego z r. 1605.
20. Akty procesu o dziesięcinę i uposażenie kościoła mieleckiego z r. 1767. Wyrok trybunału lubelskiego w tej sprawie.

[1]) Długosz, Opera omnia, t. IV., str. 40/1.

Kołłątaja, na żądanie sądu przedstawiono wszelkie akty, jakie w XVIII. wieku do posiadłości Mieleckich zebrać można było. Pierwszym co do czasu jednak aktem, w którym o Mieleckich jest mowa, była umowa kupna wsi Wojsław z r. 1480. O poprzedniej gospodarce Mieleckich na Mielcu i w aktach procesowych nie znajdujemy wzmianki. Pierwszych więc przedstawicieli rodu i nazwiska Mieleckich spotykamy dopiero w wieku XV.

Mielec zaś, lub jak w aktach czasem był pisany Mielce, była to osada bardzo stara, sięgająca dawnych piastowskich czasów. Już dokument z r. 1229, którym Grzegorz IX. papież bierze pod swoją opiekę posiadłości i przywileje klasztoru tynieckiego, mówi, że do uposażenia tego klasztoru należała dziesięcina de Sucow i dziesięcina z dwóch Mielców.[1]) Długosz zaś, mówiąc o posiadłościach i należnościach Tyńca, pisze, że Mielec dawał dziesięcinę z dwóch osad.[2]) Wyrażenie duorum Mielec, przytoczone w dokumencie z r. 1229, powtórzone przez Długosza, znajduje swe potwierdzenie w aktach późniejszych. Kancelarya kościelna miała dobrą pamięć i o dziesięcinie z Mielca nie przepomniała. Istnieje układ, zawarty 9. lutego 1550 roku, potwierdzony wizytacyą biskupią z r. 1595, którym klasztor tyniecki ustąpił dziesięcinę tak zwaną Tyniecką, z Woli Mieleckiej i z dworu zwanego Rytwiański,[3]) mansyonarzom mieleckim za stałą kwotę 5 grzywien rocznie. Istotnie też mansyonarze mieleccy powyższą kwotę przeorom tynieckim uiszczali, przechowały się bowiem kwity z odbioru tej sumy, wystawiane w imieniu klasztoru.

O jakiejś odwiecznej żupie Gryfitów-Świebodziców Mieleckich nad Wisłoką w tem znaczeniu, w jakiem o żupach rodowych mówi pr. Piekosiński,[4]) mowy być nie może. Wyniesienie się ich na wyżyny znaczenia socyalnego samo już może starczyć za dowód, że nie wyrośli z gruntu miejscowego.

---

[1]) Codex diplomaticus Monasterii Tinecensis, str. 24, nr. 11 b: „Decimam de Sucow et decimam duorum Melec...“

[2]) Liber benef. t. III. str. 216: „Myelyecz, decimae duarum villarum...“

[3]) ...decimam sic dictam Tyniecensem de Wola Mielecka et ab aliquot civibus a praedio Rytwiański dicto... (Z aktów probostwa mieleckiego).

[4]) Za żupę Gryfitów przyznaje pr. Piekosiński Gumniska i Dębice w Pilzeńskiem. (Rycerstwo polskie wieków średnich).

Polskę można podzielić na cztery terytorya, przez które wybitne nasze rody przechodziły, dochodząc do coraz większego znaczenia: Wielkopolskę, Małopolskę, Ruś Czerwoną i Ziemie Ukrainne (Wołyń, Podole, Ukraina). Właśnie te rody skupiały w swem ręku majątek i siłę, które odrywały się od własnego rodowego gniazda, a zarazem od rodowych, miejscowych więzów tradycyjnych i przenosiły się za nadaniem królewskiem lub biorąc posag w inne okolice. Dopiero na nowym gruncie niektóre rodziny wzbijały się w górę. Wielkopolska była krajem najdawniejszej kultury i miernych majątków, w Małopolsce i w województwach łęczyckiem i sieradzkiem spotykamy już liczniej znaczne dobra w jednem ręku. Potomkowie zaś rodzin, które w Małopolsce doszły do znaczenia, przenosząc się przy pomyślnych dla nich okolicznościach na Ruś i Ukrainę, zakładali magnackie fortuny, które można porównać do księstw Rzeszy Niemieckiej. Kto pozostawał na miejscu, ten wśród swoich wybujać w górę nie mógł, majątek rodowy rozdrabniał się przez podziały wśród licznego potomstwa i ród pozostawał na stopie miernej równości z sąsiadami.

Protoplastów wielkich rodów z zasady szukać należy nie w tej okolicy, gdzie ich potomkowie do znaczenia doszli. I Mieleccy również musieli przybyć z Zachodu lub Północy. Pewne dane każą przypuszczać, że przyszli z za Wisły, z Sandomirskiego. Nowonabywcy Wojsławа w r. 1480 Jan i Bernard Mieleccy w akcie kupna nazywani są haeredes de Kaliszany. Kaliszany leżały w okolicach Opatowa.[1]) Z poza Wisły pochodzili Ligęzowie, którzy w XVI. wieku panowali na sąsiednim z Mielcem Przecławiu. Z części sandomierskiego województwa, położonej za Wisłą, pochodzili i Rytwiańscy, którzy w XIV. i XV. stuleciu posiadali znaczne majątki na północy dzisiejszego powiatu mieleckiego, koło ujścia Wisłoki do Wisły. W tamtych też okolicach należałoby szukać pierwotnego rodzinnego gniazda Mieleckich.

Pierwszy dokument, w którym spotykamy imię Mieleckich, jest akt z r. 1437, potwierdzony w r. 1595. Aktem tym Stanisław Mielecki nadaje prawa cechowe korporacyi szewców w Mielcu.

Podobny akt dla cechu krawców, do którego włączono kuśnierzy i sukienników, zatwierdzają w r. 1556 Jan i Sebastyan Mieleccy.

---

[1]) Do Mieleckich za Wisłą należały też dobra Orzelec Mały i Wielki w okolicach klasztoru Beszowskiego, oraz Gierczyce.

Drugim w porządku chronologicznym po akcie z r. 1437 dokumentem, w którym występuje imię Mieleckich, jest rozgraniczenie dóbr, należących z jednej strony do Jana Mieleckiego, z drugiej do Stanisława Tarnowskiego z r. 1459. Akt ten został ogłoszony w Archiwum książąt Sanguszków w Sławucie [1]) z kopii pochodzącej z XVIII. stulecia. Po porównaniu kopii tej z oryginalnym dokumentem pargaminowym, przechowywanym w Zakładzie imienia Ossolińskich we Lwowie [2]) przekonałem się, iż kopia ogłoszona w Archiwum Sławuckiem zawiera dużo błędów. Dość powiedzieć, że Feliksa Tarnowskiego przemieniono w kopii na Franciszka, choć żaden z licznie rozrodzonego rodu Tarnowskich tego imienia nie nosił.

Po powyższych dwu aktach następują dwa dokumenty, dotyczące fundacyi miasta z nadaniem mu praw magdeburgii. Jeden z nich nosi datę r. 1470, wydany jest przez króla Kazimierza Jagiellończyka dla braci niedzielnych Jana i Bernarda Mieleckich.

Prócz powyższego aktu istnieje jeszcze drugi, z r. 1502, sporządzony w kancelaryi króla Aleksandra na prośbę Stanisława Mieleckiego. W akcie tym jest mowa, że miasto Mielec posiadało swe dawne prawa i przywileje, które w pożarze zgorzały. Stanisław Mielecki miał przedstawić do ponownego zatwierdzenia kopię przywileju Kazimierza Jagiellończyka, którą król Aleksander w r. 1502 zatwierdza. Przedstawiona kopia miała pochodzić z r. 1452, nie jest ona identyczną z przywilejem z r. 1470. Szczegółów nowych nie zawiera. Król Aleksander zatwierdza w Mielcu 2 jarmarki.

W r. 1480 Jan i Bernard, bracia rodzeni (fratres de Kalischany) kupują położoną w sąsiedztwie Mielca wieś Wojsław. Nie można swierdzić, czy wymienieni już kilkakrotnie bracia Jan i Bernard byli synami Stanisława Mieleckiego, od którego pochodzi przywilej z r. 1437. Daty pozwalają przypuszczać, że należeli do następnego po Stanisławie pokolenia.

Przedstawicielem trzeciego znanego nam pokolenia panów na Mielcu jest wzmiankowany przez Niesieckiego Stanisław, kasztelan zawichojski. O nim posiadamy już więcej wiadomości, niż o jego poprzednikach. Kasztelana zawichojskiego należy uważać za fundatora majątku Mieleckich.

---

[1]) Tom II. nr. 157.

[2]) Dokument nr. 1.036.

Według taryfy poborowej z r. 1508, ogłoszonej w Źródłach Dziejowych do Polski XVI. wieku przez Adolfa Pawińskiego, Stanislaus de Mieliecz posiadał dobra następujące: Mielec, Trzcianę, Chrząstów, Złotniki, Chorzelów, Długą Wolę, Cyranową i Cmolas. Płacił on do skarbu grzywien 20 poboru, gdy w tymże czasie z dóbr w województwie sandomierskiem, w tejże okolicy w dawniejszym powiecie pilzeńskim położonych, Stanisław Tarnowski opłacał grzywien 26, a inny potentat majątkowy tamtych czasów, Mikołaj Ligęza z Bobrka, dawał grzywien 32 groszy 36.[1])

Kasztelan zawichojski przysporzył ziemi dziedzicznej. Musiał wziąć znaczny posag za żoną Elżbietą z Tęczyńskich. W aktach krakowskich [2]) pod r. 1504 znajdujemy oświadczenie, że Elżbieta, żona Stanisława Mieleckiego, ustąpiła swym braciom, Janowi i Andrzejowi, dobra spadłe na nią po śmierci stryja Andrzeja za sumę 400 złotych węgierskich. Pieniądze te zapewne wpłynęły do skarbu Stanisława Mieleckiego.

Wkrótce też rozszerza on swe posiadłości przez kupno w r. 1512 Zgórska od Piotra Pacanowskiego za 800 złotych węgierskich i Brześcia w r. 1514 od Hieronima Szczepanowskiego za 500 zł. węgierskich.[3]) W roku 1529 kupuje za 120 grz. sołectwo we wsi Kawęczyn od Niepelskich.[4])

Zgórsko stało się pańską rezydencyą, gdzie przemieszkiwali zarówno Mieleccy, jak i ich następcy na Mielcu — Ossolińscy.

W r. 1522 kasztelan zawichojski uzyskał od króla Zygmunta przywilej na pobieranie myta drogowego i mostowego od każdego wozu z towarami po 4 denary czyli obole. Wzamian za to myto przyjął na siebie obowiązek utrzymywania w dobrym stanie dróg, prowadzących do Mielca „przez miejsca wielce błotniste i wód pełne, tak że zaledwie z wielką trudnością przejechać tamtędy można“.[5]) Tenże Stanisław uposażył kościół mielecki. Dokument

---

[1]) Małopolska, t. XIV. i XV.

[2]) Acta judicii terrestris Cracoviensis t. XXVIII. str. 194—5 w archiwum krajowem w Krakowie.

[3]) Akta Grodzkie i Ziemskie Pilzneńskie w archiwum krajowem w Krakowie v. III. V.

[4]) Starodawne prawa polskiego pomniki, t. IX. nr. 1.596.

[5]) Pargaminowy przywilej znajduje się w archiwum konsystorskiem w Tarnowie.

fundacyjny z r. 1526 jest nader obszerny, w kopii obejmuje ze 20 stronic arkuszowych pisma.[1])

Po wstępie, w którym jest mowa, że dwa samodzielnie istniejące probostwa, w Mielcu i w sąsiednim Chorzelowie, nie mogą się dobrze rozwijać jako dwie odrębne instytucye, akt mówi, że na przyszłość ustanawia się za zgodą biskupa jedna prepozytura w Mielcu, której podlegać będzie probostwo w Chorzelowie. W Mielcu prócz prepozyta ma być 6 stałych wikarych czyli mansyonarzy, w Chorzelowie 2-ch. Przy obu probostwach mają być wyznaczeni i utrzymywani rektorowie szkół. W dalszym ciągu akt zawiera szczegółowe wyliczenie uposażenia zarówno proboszczów, jak mansyonarzy i nauczycieli, tak w Mielcu, jak i w Chorzelowie. Z łanów miejskich mieleckich („in Borra et Krzemienicza“) ustanowioną jest dziesięcina pieniężna po 4 grosze z łanu. Dziesięcinę snopową wyznacza Stanisław Mielecki i ze wsi leżących po za powiatem pilzneńskim, a mianowicie z Gierczyc i Kaliszan, leżących w pobliżu Opatowa, ze wsi Granow, leżącej w Proszowskiem koło Skalmierza i ze wsi Czyrosławice w ziemi krakowskiej, w parafii Stare Brzesko, położonej. Sołtys wsi Cyranowa Wola ma płacić 8 groszy tytułem dziesięciny. Na utrzymanie bakałarza w Mielcu mieszkańcy Cyranowej Woli mają płacić 3 grzywny plebanowi. Na zaznaczenie zasługuje punkt, że bakałarz oraz uczniowie szkoły mają prawo bezpłatnego korzystania z łaźni w czwartek, raz na miesiąc. Bakałarz obowiązany jest uczyć dzieci śpiewów kościelnych, pomagać księżom przy odprawianiu nabożeństwa i pilnować, aby w kościele przystojnie się zachowywały. W akcie jest wzmianka o bractwie literackiem (confraternitas literatorum). Gdyby wikaryusze, obowiązani do śpiewania pewnych pieśni, nie mogli ich odśpiewać, wtedy „cives literati“ mają ich w spełnieniu tego obowiązku wyręczyć. Stanisław Mielecki musiał się cieszyć zaufaniem braci szlachty. W roku bowiem 1506 wysłany był od województwa sandomierskiego dla porozumienia się w sprawie poborów do Jakóba Szydłowieckiego i Mikołaja Lanckorońskiego.[2])

Stanisław Mielecki, umierając, pozostawił dwie córki i trzech synów: Jana, Sebastyana i Waleryana. Przez czas pewien bracia

[1]) In extenso zamieszczony w tabuli krajowej lwowskiej, Mielec, Libri fund. nr. 79, p. 91 i nast.

[2]) Teki Pawińskiego t. I. str. 199.

pozostawali niedzielni. W roku jednak 1542 nastąpił dział, zapisany w r. 1548 w Metryce Koronnej, wskutek którego najstarszemu z braci Janowi, wojewodzie podolskiemu, prócz trzeciej części miasta Mielca, dostały się następujące wsie: Cyranowa (dziś Cyranka), Długa Wola (lub Mielecka Wola), Zgórsko, Chorzelów, Brzeście, Gawłuszowice, miasto Orzelec z dwiema wsiami, Wolskowce i Skowiatnice, nad Prutem.

Sebastyanowi, późniejszemu kasztelanowi krakowskiemu, przypadły prócz części Mielca wsie Złotniki, Markowa Wola, Wojsław, Cmolas i Trzęsówka.

Waleryan otrzymał prócz części miasta wsie: Trzcianę, Rzędzianowice, część w Tuszowie, Chrząstówek, część w Jaślanach, Passy, Miechy, Chrząstów i Wolę Chrząstowską.

Według spisów poborowych z r. 1578, wydrukowanych w Źródłach Dziejowych Adolfa Pawińskiego, powyższe majątki zagospodarowane były w sposób następujący:

W Brześciu było 16 kolonistów na 3 łanach i 5 zagrodników na ogrodach.
W Chorzelowie było 36 kol. na 9 łanach, zagrodników 3, chałupników 5.
W Chrząstowie było 20 kolon. na 6 łanach, zagrodników 4.
W Cmolasie było 36 kolon. na 10 łanach, zagrodników 4, chałupników 2, biedaków i rzem. 6.
W Długiej Woli było 22 kolon. na 8 łanach, zagrodników 4, chałupników 2.
W Kliszowie było 21 kolon. na $3\frac{1}{2}$ łanach, zagrodników 10, biedaków i rzem. 6.
W Lubnicy było 12 kolon. na 3 łanach, zagrodnik 1, chałupnik 1, biedaków i rzem. 5.
W Gawłuszowicach było 4 kolon. na 1 łanie, zagrodników 6, bied. i rzem. 1.
W Rzędzianowicach było 20 kolon. na 10 łanach, zagrodn. 4.
W Trzcianie było 30 kolon. na 15 łanach, zagrod. 4, chałupn. 4, biedak. i rzem. 3.
W Trzęsowce było 15 kolon. na 6 łanach, zagrod. 4, chałupn. 2, biedak. i rzem. 1.
W Wojsławiu było 24 kolon. na 9 łanach, zagrod. 2, chałupn. 2, biedak i rzem. 2.
W Zgorsku było 40 kolon. na 18 łanach, zagrodników 4, biedak. i rzem. 10.

W Zaradziu było 10 kolon. na $1^1/_2$ łanach, biedak. i rzem. 2.
W Złotnikach było 21 kolon. na 17 łanach, zagrodników 3, chałupników 2.

Ogółem po za miastem Mielcem w posiadłościach Mieleckich zamieszkiwało około 450 rodzin, przy podziale więc mogło wypaść na część każdego po rodzin 150, czyli mniej więcej po 750 osób poddanych.

Mieszczanie mieleccy posiadali $5^3/_4$ łanów. rzemieślników wszystkich razem liczono w mieście 40. W taryfie poborowej zaznaczono, że niedawno połowa miasta pogorzała, pobrano też z miasta tylko symplę, szosu złotych 6 gr. 12. Ogół poboru od mieszczan wyniósł zł. 36 gr. $4^1/_2$.

Gdybyśmy opierając się na zdaniu Ad. Pawińskiego przyjęli, że 1 złotówka szosu wyrażała 4, 5 domów miejskich a 24 głów, wypadłoby, że Mielec ku końcowi wieku XVI. liczył niespełna 200 mieszkańców.

Rozdzielony w ten sposób majątek nigdy już nie skupił się w jednych rękach. Trzej bracia założyli trzy linie domu Mieleckich, z których dwie, Jana i Sebastyana, urwały się na ich wnuczkach. Z początkiem wieku XVII. pozostała już tylko linia Waleryana, dość licznie rozrodzona, lecz nie majętna. Potomkowie odbiegli od rodzinnego Mielca w podolskie strony. Nie zdołali oni utrzymać majątku, odpowiedniego tradycyom wielkiego domu. Żaden z przedstawicieli tej gałęzi nie wzniósł się na urząd wyższy od drobnego starosty.

Dział pomiędzy braćmi otwiera najświetniejszy okres w historyi rodu Mieleckich.

W Polsce nastały czasy zawikłań pełne, powołujące do działania wszelkie tkwiące w narodzie siły, budzące energię uśpioną. Życie polskie w porównaniu z poprzednimi okresy skomplikowało się niezmiernie. Zjawiło się tak wiele zadań, wymagających załatwienia we wszelkich dziedzinach życia. że każdy człowiek ze sfery szlacheckiej, posiadający jakieś zdolności, łatwo mógł znaleść pole do zużytkowania swych sił. Wybitnych ludzi wymagała polska polityka, życie publiczne i ruch umysłowy. Stosunki same wynosiły ludzi na wyżyny, sprzyjały niezmiernie ludziom energicznym i zdolnym. W XVI. wieku łatwo było się odznaczyć i przejść do potomności.

W tym to okresie bujnego politycznego życia na widownię występuje kilku Mieleckich, którzy dochodzą do wysokich godno-

ści: Jan, Mikołaj i Sebastyan. Żadnemu z nich nie można przyznać ani zasług wyjątkowych, ani talentów wybitnych, nie widzimy nawet surowej konsekwencyi w ich postępowaniu. Kierowały nimi wypadki, *fale życia* postawiły ich wśród pierwszych osób w narodzie.

Z trzech wzmiankowanych powyżej braci najmniej znanym jest Waleryan. Mało co więcej o nim wiemy nad to, że był podkomorzym sandomierskim i umarł w r. 1553. Zdaje się, że nie odegrał on żadnej wybitnej roli i spędził życie w zaciszu domowem.

Sebastyan pozostał wierny religii katolickiej, był wysuwany przez biskupów jako obrońca katolicyzmu. Na jego nagrobku czytać można było następujące pochwały, przytoczone przez Paprockiego: „Optimarum partium Senator, prudentissimus et amantissimus patriae, doctorum virorum et bonarum artium fautor, priscae et catholicae religionis cultor et propugnator“.

O tem, że Sebastyan używany był do poselstw zagranicznych, wzmiankowalismy powyżej, o roli jego politycznej pomówimy w następstwie.

Mikołaj, syn Jana, ogarnięty został ruchem reformacyi religijnej i uchodził przez czas pewien za kalwina. Warunki czasu wyrwały wtedy panów polskich z umysłowej równowagi. I Mikołaj Mielecki dał się unieść ogólnemu prądowi naśladowania Zachodu, wskutek którego większość naszych wielkich rodów: Górkowie, Firlejowie, Zborowscy, Chodkiewicze, Radziwiłłowie, przeszła na czas pewien w szeregi protestantów. W listach nuncyuszów papieskich z tego czasu często spotykamy imię Mikołaja z dodatkiem: „heretico“. Graziani w liście do kardynała di Como z dn. 28. lipca 1572 nazywa dwóch wojewodów, podolskiego (Mikołaja Mieleckiego) i Ziem ruskich (Jerzego Jazłowieckiego) — „pur heretici“.[1]) Inne źródła mówią, że usiłowania Skargi, aby nawrócić Mikołaja Mieleckiego, były bezowocne, że jednak Mielecki przed śmiercią powrócił na łono Kościoła katolickiego, w czem była zasługa jezuity Herbesta. Bądź jak bądź, mamy dowód, że Mikołaj Mielecki ku końcowi swego życia fundował kościół katolicki w Zgórsku i nadał proboszczowi uposażenie, świadectwem czego jest akt fundacyjny kościoła z r. 1582.[2]) W akcie fundacyjnym

---

[1]) Uchańsciana, str. 23—4, t. IV.

[2]) Tabula krajowa we Lwowie, Lib. fund. t. 108, p. 157.

zamieszczono nawet, że pleban obowiązany jest nauczać lud katechizmu wedle postanowień świętego koncylium Trydenckiego. Tenże Mielecki w r. 1583 nadał proboszczowi w Mielcu swoją część praw do pobierania myta mostowego i poborów jarmarcznych w Mielcu.

Mikołaj Mielecki pozostawił po sobie imię w historyi jako polityk i jako wojownik. W czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, Mikołaj Mielecki występował w ścisłem porozumieniu z Janem Firlejem, wojewodą krakowskim i z partyą protestancką. Stryj Sebastyan, choć pozostał katolikiem, łączył się w wystąpieniach politycznych z Mikołajem.

Partya Firleja była to partya antyprymasowska, antybiskupia, popierająca ugodę Sandomierską i konfederacyę Warszawską z r. 1572. Na polu elekcyjnem do ostatniej chwili Mielecki popierał kandydaturę Jana III. szwedzkiego i ucierał się z tego powodu z Karolem Chodkiewiczem. Gdy partya stronników Henryka przeważyła stanowczo, Jan Firlej usunął się z pola elekcyjnego generalnego do Grochowa, a wraz z nim obaj Mieleccy, Mikołaj i Sebastyan i inni protestanccy senatorowie, jak Andrzej Górka, Stanisław Szafraniec. Zaczęły się wtedy pertraktacye obu stron. Rezultatem ich było włączenie do paktów henrykowskich warunku *de pace inter dissidentes de religione servanda*.

Ze słów listu pisanego w r. 1574 do Jana Firleja widać, że Mielecki nie był za przyznaniem swobody wyznaniowej wszystkim sektom, pisze on bowiem tak: że przy wolności ewangelii ostawiło się large domicilium venenatissimis haeresibus, widzę to". Z powodu odrazy zapewne do jadowitych herezyj opuścił szeregi protestantów i przyłączył się do starego wyznania, zaczął fundować kościoły i uposażać zakon Jezuitów lwowskich.

Po ucieczce Walezego, na nowej elekcyi, Mikołaj i Sebastyan Mieleccy podpisali akt obrania królem cesarza Maksymiliana. Syn Sebastyana, Hieronim, był nawet wyznaczony, aby jechał w poselstwie do cesarza z zawiadomieniem o obiorze. [1]) Po koronacyi Batorego Mieleccy pogodzili się z energicznym królem Stefanem, nie występowali przeciwko niemu, a nawet stanęli blisko tronu i łask jego szukali.

Rzemiosło wojenne było tradycyjnym zawodem w rodzinie Mieleckich. Już ojciec Mikołaja, Jan, również jak i syn wojewoda podolski, stał na straży ziem granicznych i zasłaniał Ruś od na-

[1]) Uchańsciana, t. II. str. 312 i nast.

padów tatarskich. W r. 1557 w czasie zatargu wielkiego mistrza kawalerów mieczowych Fürstenberga z arcybiskupem ryskim dowódcą polskiego wojska, które Zygmunt zgromadził w celu uspokojenia wynikłej waśni. był Jan Mielecki. [1])

Syn Jana, Mikołaj, sławą wojenna przeszedł swego ojca. Pierwszym czynem wojennym Mikołaja Mieleckiego było wmieszanie się w sprawy wołoskie w r. 1572. Tron hospodara wołoskiego chwiał się ciągle, wypędzanie wojewodów było tam czemś zwykłem, powtarzającem się z taką regularnością, z jaką następują po sobie pory roku. Zawsze też było sporo pretendentów do tronu wołoskiego, z czego usiłowali korzystać panowie polscy (Albrecht Łaski, Dymitr Wiśniowiecki i inni) oraz kozacy. Wiemy, że syn Chmielnickiego, Tymoszko, pokusił się w r. 1652 o zdobycie dla siebie tego tronu wraz ze skarbami pięknej Rozandy. Mikołaj Mielecki prowadził na tron Bogdana, syna Aleksandra, którego wypędził Iwonia, wojewoda wołoski z ramienia tureckiego. Mielecki wybrał się na wyprawę z nader nielicznemi siłami, miał zaledwie do 2.000 ludzi. Tylko dzięki temu, że było to wojsko wyborne, dobrze opatrzone, przeważnie ze szlachty i z rycerskich panów złożone, zdołał Mielecki wycofać się z niebezpiecznego położenia z honorem, choć bez powodzenia. Doszedł pod Jassy, do Stepanowic i ztamtąd cofnął się pod Chocim, widząc, że walka z nadciągającemi tureckiemi siłami jest niemożliwa. Niefortunny kandydat do tronu, Bogdan, dał za wygraną i Mielecki ze sprawy się wycofał. Awantura ta nie pociągnęła za sobą poważniejszych skutków.

Większą rolę wojskową i z lepszym skutkiem odegrał Mikołaj Mielecki w wyprawie połockiej Stefana Batorego. Mianowany hetmanem w r. 1579, Mielecki oddał pod Połockiem rzeczywiste usługi. W krótkim jednak czasie pomiędzy Mieleckim a innymi wodzami, Bekieszem, Radziwiłłem, Zamoyskim, wszczeły się spory i niesnaski.

---

[1]) Podręczniki historyi błędnie podają, że był nim Mikołaj Mielecki. Patrz: Dzieje Narodu Polskiego Wład. Smoleńskiego, str. 106, oraz Szujskiego: Dzieje Polski, t. II. str. 282, wyd. r. 1862. Źródłem błędu jest zdaje się kronika Bielskiego. W jednem miejscu wydrukowano w niej, że w r. 1557 hetmanił Mikołaj. Sam jednak Bielski mówi dalej, że Mielecki, który dowodził wojskami polskiemi w r. 1557, umarł w r. 1561. W tym roku umarł Jan Mielecki, Mikołaj umarł w r. 1585.

Po zdobyciu zamku Sokoła Mielecki oczekiwał dla siebie wielkich odznaczeń. Gdy go te zawiodły, obraził się na króla i złożył dowództwo. Już w r. 1580 Batory oddał buławę Janowi Zamoyskiemu. Ostatnie lata swego życia Mikołaj Mielecki spędził w swoich posiadłościach. Bielski pod r. 1585 pisze: „Tamże natenczas Mikołaj Mielecki, wojewoda podolski, syn Jana Mieleckiego, wojewody także podolskiego i hetmana koronnego, człowiek rozumu i dowcipu wielkiego, a w sprawach rycerskich fortunny i biegły hetman, gorączką zaraźliwą umarł. Słał mu król jednorożcu i bezsaru, ale mu nie pomogło".

Mikołaj zamyka sobą poczet wielkich panów na Mielcu. Nie zostawił on dziedzica swego imienia, tylko dwie córki: Zofię i Katarzynę. Sebastyan Mielecki miał syna Hieronima, który umierając pozostawił jedynaczkę córkę, Annę. W ten sposób z końcem XVI. wieku zanikły dwie główne gałęzie domu Mieleckich i zgasła świetność ich imienia.

Zofia wyszła za mąż za księcia Słuckiego Symeona Olelkowicza, a po jego śmierci oddała swą rękę wraz z dziedzicznemi dobrami Karolowi Chodkiewiczowi. Hetman sprzedał majątki dziedziczne swej żony w obce ręce. Zbigniew Ossoliński w pamiętniku swym powiada, że w r. 1608 kupił Mielecką majętność od Chodkiewicza za 130.000 zł. pol.

Siostra Zofii, Katarzyna, wydana została za Ostroroga, wojewodę poznańskiego, otrzymała posag w gotówce.

Anna, córka Hieronima, dwukrotnie wstępowała w śluby małżeńskie: primo voto była za Joachimem Ocieskim, kasztelanem sądeckim, secundo voto za Ratowskim.

Nawet potomkowie Mieleckich w linii żeńskiej nie mogli się utrzymać przy Mielcu. I pani Ratowska (Anna z Mielca) wyprzedała się z swych dóbr. Sprzedaży dokonano niezupełnie z dobrej tylko woli. Anna Ratowska była zmuszona do opuszczenia swych stron rodzinnych wskutek skandalicznej sprawy, o której mówi Zbigniew Ossoliński w te słowa: [1])

„Na trybunale (w r. 1615) odkryto niecnotliwe mincarskie roboty. Między fałszerzami monety zapozwano i Jana Zaduskiego, którego jako manifestum falsatorem czci odsądzili. Zaduski, mieszkając przy Ratowskim na Rzemieniu, zmówił się był z żoną tego Ratowskiego, niepewną panią (sic) i z samego iścia za mąż powtórzonego po zacnym człeku, Ocieskim, kasztelanie sądeckim,

[1]) Pamiętnik Zbigniewa Ossolińskiego, str. 47—8.

dziedziczki w domu Mieleckim, wielkich majętności mieleckich i tarnowskich, znać było). Zmówił się był na męża tej to paniej dobrej, że go mieli trucizną znieść z tego świata. Czego, gdy Ratowski doszedł wielkiem szczęściem swojem z przygody, pojmał tego Zaduskiego, kazał pozwać przed trybunał. Sądzono go i na śmierć zasądzono.“

Anna z Mielca ustąpiła swych praw do miasta Zbigniewowi Ossolińskiemu. Inne posiadłości sprzedała w r. 1616 Stanisławowi Lubomirskiemu za 240.000 zł. pol.

Władysław Kierst.

Żywot polityczny Michała Grabowskiego.

Z pyłu zapomnienia wydobywamy człowieka, który dzisiaj zwłaszcza winien być znany szerokiemu ogółowi.

Mówimy o Michale Grabowskim.

Choć na głowę jego spadały częstokroć gromy potępienia, zbyt bowiem odważnie i wytrwale płynął przeciw prądowi, któremu pod wpływem literatury emigracyjnej i poromantycznej hołdowało polskie społeczeństwo, dzisiaj, gdy główni reprezentanci obu walczących obozów legli już dawno w grobie, a ewolucya zapatrywań politycznych — po zdobytych przykrych, niemniej przeto pouczających doświadczeniach — znaczne w naszych pojęciach wprowadziła zmiany — program Michała Grabowskiego winien być na nowo przypomniany i oceniony bezstronnie.

Hołdował on mu nie w chęci karyery, nie z prywaty, przeciwnie: niemałe ponosił ofiary tylko z racyi swego odosobnionego stanowiska. Był szczery i wierzył w prawdę i moc głoszonych przez siebie niesympatycznych udręczonemu, rozegzaltowanemu ogółowi haseł, a to już znaczy bardzo wiele, to skłania nawet najzagorzalszych antagonistów do szacunku dla osoby politycznego przeciwnika.

Zakres niniejszej pracy ograniczamy ściśle zamkniętemi ramami, co zresztą już sam tytuł wskazuje wyraźnie.

Grabowski odgrywał w dziejach naszej krytyki literackiej, w epoce między 1830 a 1850 rokiem. rolę wyjątkową. Karyerę jego powieściopisarską można zbyć niewielu słowy: zamiary autora

nie stały tu w żadnym stosunku z ich skutkami. Natomiast owa pierwsza, wyżej wspomniana działalność zapewnia mu na długie lata poczestne miejsce na kartach literatury polskiej. Grabowskim jednak, jako krytykiem czy belletrystą zajmować się bynajmniej nie mamy zamiaru; uczynił to już przed kilku laty imiennik jego, dr. Tadeusz Grabowski.[1] Nas interesuje przedewszystkiem wyznanie wiary politycznej tej niezwykłej bądźcobądź postaci, zbyte przez dr. Tadeusza Grabowskiego nadto pobieżnie i ogólnikowo. Materyał rękopiśmienny, jaki posiadamy pod ręką, wyświetli nam może niejedną wątpliwość czy zagadkę i pozwoli nakreślić dokładniejszą sylwetkę polityczną Michała Grabowskiego.

Przyznajemy zupełną słuszność monografiście, gdy skarży się, że szczupły materyał utrudnia w wysokim stopniu napisanie bodaj znośnej biografii. Z prywatnej korespondencyi uczonego krytyka pozostały zaledwie skromne bardzo szczątki, a osobiste wspomnienia żyjących jeszcze nielicznych już świadków jego obywatelskiego żywota, „mają raczej charakter anegdotyczny niż poważny“. I to racya, że „co się tyczy artykułów lub prac krytycznych o nim, to takich nie było (przed studyum dr. Tadeusza Grabowskiego) zupełnie“, lecz na zlekceważenie jedynej biografii Michała Grabowskiego,[2]) ogłoszonej w 1868 r. w Krakowie w odcinku *Czasu* a z kolei w osobnej odbitce, należącej już dzisiaj niemal do „białych kruków“, stanowczo się nie godzimy. Mimo całej swej „powierzchowności“ i braku wyczerpania, jest ona i będzie jedynem źródłem do życiorysu krytyka-powieściopisarza i dostarczyła nawet dr. Tadeuszowi Grabowskiemu, w jego obszernem studyum, sporej wcale dozy ciekawych szczegółów, choć ten ją z lekkiem sercem każe pisać ks. Antoniemu Krechowieckiemu, znakomitemu kaznodziei polskiemu, gdy autorem biografii — jak wyraźnie podpis wskazuje — jest ojciec ks. Antoniego, kolega humański Grabowskiego, Goszczyńskiego i Bohdana Zaleskiego, popularna niegdyś bardzo wśród młodzieży kijowskiej i ziemiaństwa ukraińskiego postać — Jan Krechowiecki. Błąd to może drobny, niemniej przeto wysoce charakterystyczny.

Wzmianki o Michale Grabowskim, rozsiane po encyklopedyach i podrecznikach, mimo swej zwięzłości, świadczą raz jeszcze

[1]) Książka p. t. „Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne“. Kraków 1900.

[2]) Jan Krechowiecki: „Wiadomość o życiu i pismach Michała Grabowskiego“. Kraków 1868, stronic druku 53.

najdobitniej, jak różnorodne wywoływała sądy jego działalność, jak bezwzględnych posiadał on zwolenników i krytyków. Obojętności lub lekceważenia tutaj nie znaleźć, w czem dowód, że mamy do czynienia z niezwykłą indywidualnością i tak było istotnie.

Dla stwierdzenia prawdziwości słów ostatnich kilka przykładów:

Piotr Chmielowski w swej sześciotomowej „Historyi literatury polskiej“, po za stronniczemi, ironicznemi wzmiankami, nie próbował nawet skreślić sylwetki literackiej tego niezwykłego, mimo wszystkie błędy, człowieka. Zdaniem jego, Michał Grabowski, „jeden z teoretyków szkoły romantycznej“, był „uznawany wtedy jeszcze powszechnie za powagę“. Podjął się on roli „obrońcy wszystkiego, co w „Mięszaninach“ się mieściło“. Wszyscy inni, co „mieli żywsze poczucie narodowe, występowali przeciwko Bejle, choć wielbili Imć Pana Seweryna Sopłicę“.[1]) W innem miejscu, pisząc o Kazimierzu Bujnickim, przedstawicielu Inflant polskich w ówczesnej publicystyce i powieści (1788—1878), wyraża się Chmielowski sarkastycznie: „jego przekonania daleko więcej niewątpliwie niż średni talent, wyjednały mu dyplom znakomitego powieściopisarza u ówczesnego rozdawcy godności literackich, Michała Grabowskiego, który sam coraz lichsze pisał powieści historyczne“.[2]) I istotnie, mimo całą swoją ironię, Chmielowski napisał prawdę: Grabowski wydawał dyplomy na popularność i uznanie; był powaga, wobec której korzyli się wszyscy.

Za to bardzo słuszny i sprawiedliwy sąd wygłosił o „rozdawcy godności literackich“ profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego:[3]) „Michał Grabowski źle pisał powieści, ale wydał „Literaturę i Krytykę“. Była to ze wszystkich dotychczasowych i z wielu późniejszych najlepsza polska książka tej treści. Nauka gruntowna, w sądach bystra i trafna a zawsze uzasadniona, w dowodzeniu jasna i ścisła, miała ona równie zdrowe jak szerokie pojęcie tego czem literatura oświecona, literatura rozumna i szlachetna, literatura dla społeczeństwa dobroczynna, być ma. Dla-

[1]) Piotr Chmielowski: „Histor. liter. polsk.“ Warszawa 1900. V. 207, 209.

[2]) Ibid. V. 262.

[3]) Stanisław Tarnowski: „Hist. lit. polsk.“ Kraków 1900. V. 195. 196.

czego nie więcej była czytana, nie więcej sprawiła skutku, nie więcej wykształciła sąd i smak publiczności polskiej, co z pewnością zrobić była mogła? Dlatego zapewne naprzód, że pisana dobrze, nie była pisana świetnie; trochę ciężka, trochę sucha. Dla ludzi myślących pomimo tego bardzo godna czytania; dla ogółu mało ponętna. W latach późniejszych, kiedy autor oświadczył się stanowczo za zgodą, a przynajmniej za spokojem z rządem rossyjskim, (choć nigdy w tej mierze i w ten sposób co Henryk Rzewuski), oburzenie na jego polityczne pojęcia sprawiło, że i na literackie patrzano z niechęcią, książki jego nie brano do ręki. Wartość jej jest jednak rzeczywista i niezwykła; a niektóre przynajmniej rozdziały, np. o literaturze francuskiej („Literatura szalona“), tak są zadziwiające bystrością i tak pełne przystosowania, że i dziś, i zawsze, może mogłyby być czytane z pożytkiem; czytane byćby powinny“.

Z innego punktu widzenia sądzi Grabowskiego Leonard Sowiński.[1]) „Najznakomitszy niegdyś po Mochnackim z krytyków polskich“, pospołu z nim „nowszą literaturę polską wychował“. „Sądy jego i recenzye uchodziły za wyrocznie; jego powaga była tak wielka, że sam jeden stanowił o powodzeniu autorów“. „Estetyk i kierownik ukraińskich poetów, oceniał on ich utwory, wskazywał zalety i wady; owiany temiż samemi dumami co tamci, tęsknił za nową poezyą, a więcej od tamtych wykształcony, sam sobie zdawał sprawę z tego, co być powinno“. W innem miejscu nazywa Sowiński naszego krytyka „najlepszym wówczas znawcą ukraińszczyzny“ i nie pomylił się pod tym względem bynajmniej.

Julian Bartoszewicz pisał swoją „Historyę literatury polskiej“ w Warszawie 1860 r., świeżo po przykrem nieporozumieniu między Michałem Grabowskim a społeczeństwem polskiem, mimo to zdobył się na sąd bezstronny i rzetelne uznanie zasług wybitnego męża,[2]) który — zdaniem jego — „nieposlednim był krytykiem owego czasu, ale olśniony blaskiem Mochnackiego, dobrowolnie pozostał w cieniu“. Studya krytyczne Grabowskiego „były to wszystko rzeczy znakomite i budziły do myślenia a praca w narodzie podnosiła się do znaczenia jakiegoś kapłaństwa, gdy dotąd stanowiła miłą zabawkę“. Grabowskiemu należy się zasługa,

[1]) Zdanowicz-Sowiński: „Rys. dziejów literat. polsk.“ III. 74, 636, 681; IV. 177, 741, 742.

[2]) Julj. Bartoszewicz: „Hist. liter. polsk.“ Kraków 1877. II. 182, 233, 236, 237.

że „Przeździeckiego oderwał od literatury francuskiej i nakłonił ku rzeczom swojskim, i że wskazał mu drogę, jaką po nawróceniu się ma postępować“. Od niego wyszedł pierwszy pomysł zbierania materyałów, odnoszących się do przeszłości naszej: on poruszył myśl wydawania pamiętników domowych i namawiał starych ludzi, pamiętających dawne czasy, do spisywania swoich wspomnień: on wreszcie własnym kosztem uzyskane pamiętniki Karola Micowskiego i Wacława Borejki ogłosił drukiem. „Nie ma wątpliwości — podkreśla wreszcie Bartoszewicz — że pomiędzy naszymi powieściopisarzami Grabowski jest jednym z najdoskonalszych znawców historyi narodowej: jeżeli sam jej nie pisze, za to zagłębia się w szczegóły, studyuje ją dla własnej nauki i zna ją dobrze nietylko w ogólnych zarysach, ale i w drobiazgach, ocenia odrębność prowincyonalną, a pogląd jego na stosunki dawne społeczne np. Ukrainy do Polski, na sprawę unii religijnej i na prawne zasady i polityczne konstytucye, oryginalny jest a prawdziwy“. Niestety „ogromne Grabowskiego zasługi przepadły rychło w morzu niepamięci narodowej; winien był sobie sam ten dziwny upadek. Postawił raz krok fałszywy, który go zgubił w opinii. A jednak jest to znakomitość, której blask był nadzwyczaj świetny w literaturze“.

*
* *

Znany powszechnie dwuwiersz wielkiego poety i myśliciela niemieckiego:

„Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen...“

najdosadniejsze znajduje zastosowanie w życiorysie Michała Grabowskiego. Skoro się pozna jego lata dziecinne i wiek męski: wpływy, jakim ulegać musiał i otoczenie, wśród którego wypadło mu spędzić te lata, kiedy to serce i umysł krystalizują się, wówczas łatwiej przyjdzie zanalizować psychikę człowieka, rozwikła się niejedna zagadka, pozornie trudna do rozwiązania.

Zrozumieli go i odczuli najlepiej Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Jan Krechowiecki i Leonard Sowiński. Wszystkich ich kołysały do snu te same smętne dumki ukraińskie, rozmarzały poświsty wichrów stepowych i opowieści piastunek lub starców o kurhanach, mogiłach i spoczywających pod niemi bohaterach,

nimbem legendy owianych. Pierwsi trzej nie wyrzekli się też swego kolegi humańskiego, gdy bezkrytyczny najczęściej szeroki ogół ciskać nań począł kamieniem potępienia; czwarty, młodszy od nich wiekiem, zmarnowany pieśniarz, któremu sokole loty wróżono u wstępu w szranki literackie, również nie plunął nań żółcią, choć z licznych przykładów wiemy, jak gorąca krew biła mu w żyłach, zanim wygnanie i odosobnienie nie strawiło całego temperamentu, nie starło wszystkich jego bujnych sił żywotnych.

Nie zrozumiał naszego krytyka Piotr Chmielowski — tem dziwniej i boleśniej, że właśnie on — choć pisał swoje dzieje literatury polskiej w tyle lat po „tragedyi“ Grabowskiego, mógł więc i powinien był zajście całe osądzić z innego, bezstronniejszego punktu widzenia. Niestety tendencyjność zabiła tu z kretesem, jak w wielu innych wypadkach, jedną jedyną realną prawdę.

Józef Ignacy Kraszewski wahał się: początkowo osądził kolegę po piórze i oddanego sobie wszechwładnego krytyka trochę zbyt surowo, potem cofnął się, nie wątpiąc ani przez chwilę o dobrej wierze Grabowskiego. Metropolita Hołowiński stał wiernie u boku kamienowanego; przezacny ks. Stanisław Chołoniewski po chrześcijańsku bolał nad jego błędem, a było to grono działaczy kresowych, cieszących się w danej epoce olbrzymim wpływem i rzadką w naszych stosunkach popularnością, sądy też ich o Grabowskim przedewszystkiem zasługują na przypomnienie.

Człowiek, którego imię dotrzeć z czasem miało w dalekie nawet zakątki ziemi ojczystej, początkowo wielbione, z kolei bodaj nawet aż przeklinane, ujrzał światło dzienne w 1805 roku[1]) na Wołyniu, w powiecie rowieńskim, we wsi Złotyjowie. Ojciec przyszłego „rozdawcy godności literackich“, Antoni Grabowski pochodził ze szlachty województwa wołyńskiego; z tych samych stron wywodziła się i matka jego, Teresa Dworzańska. Tradycya rodzinna,[2]) szerszym kołom nieznana, opowiada o wywiezieniu

---

[1]) Dr. Tad. Grabowski j. w. str. 11. Jan Krechowiecki, za którym powtarzamy w streszczeniu wszystkie szczegóły biograficzne, pisze: „w 1804 r. lub najpóźniej w 1806“. Chmielowski, („Hist. liter. polsk.“ V. 207) przesuwa datę urodzin na r. 1807.

[2]) Tad. Grabowski j. w. str. 11; Franciszek Rawita-Gawroński: „Rok 1863 na Rusi. Ukraina, Podole, Wołyń“. Lwów 1903 r. str. 33—34 pisze, iż według tradycyi ukraińskiej, Antoni Grabowski dzieckiem dostał się w czasie buntów hajdamackich w ręce jakiegoś oddziału rossyjskiego i wychowany został w głębi Rossyi pod okiem moskiewskiem.

małego Antoniego podczas barskiej zawieruchy gdzieś w głąb Rossyi. Wychowywany z dala od kraju przez głośnego w Polsce Drewicza, służy Grabowski z kolei wojskowo, wracając w strony rodzinne w dojrzałym już wieku. Ciągnęła go na Wołyń drzemiąca gdzieś na dnie serca przymusowego emigranta tęsknica, niemniej przeto spędzenie tylu lat wśród obcych, w nieznanych najkompletniej dla polskiego szlachcica warunkach, musiało pozostawić pewne ślady w umyśle i zapatrywaniach Antoniego Grabowskiego, mogło oddziałać i na syna jego, Michała. I tak mielibyśmy pierwsze ogniwo zagadki, podkreślimy ich niebawem i więcej.

Zamieniwszy szablę na pług, osiada eks-wojak w Złotyjowie, poślubia zacną pannę Teresę i gospodaruje zawzięcie. Tutaj upłynęło Michałowi lat dziewięć na właściwych dziecinnemu wiekowi zabawach i figlach. W dziesiątym roku życia oddają go rodzice do konwiktu OO. Jezuitów w Romanowie, gdzie — jeśli nawet niezbyt wiele zaczerpnął wiedzy — utwierdził się w każdym razie w głębokiej wierze, której gorliwym wyznawcą pozostał do chwili zgonu.

Tymczasem jednak interesy familijne zmuszają Grabowskich do przeniesienia się w najdalszy zakątek Ukrainy, do Aleksandrówki w czehryńskim powiecie. Równocześnie i syn ich Michał przechodzi pod troskliwą i umiejętną opiekę OO. Bazylianów w Humaniu, gdzie serdeczne nawiązuje węzły z kolegami z ławy szkolnej: Goszczyńskim, Krechowieckim i Zaleskim. Żyłka literacka objawiła się już tutaj u głośnych w przyszłości pisarzy, a młodzieńczemu kółku humańskiemu przewodniczą Zaleski i Grabowski.

Prędzej niż się tego spodziewał, następuje żałosne rozstanie Michała Grabowskiego z gronem goraco umiłowanych rówieśników. Pan Antoni, o ile z wielu wskazówek wnioskować można, nie stronił od towarzystwa z rossyjskiem ziemiaństwem, które w Czehryńszczyźnie dosyć gęsto siedziało po dworach wiejskich. Nawykał do tego i Michał, zatracając zwolna rozmaite drażliwości pod tym względem, spotykane wówczas i dzisiaj jeszcze w wielu domach polskich. Otóż za przykładem sąsiadów swoich, Rossyan, zabiera Grabowski syna z Humania i wywozi do słynnego liceum odeskiego. Zapewne, że silną pobudką w tem postanowieniu było pragnienie wykształcenia pierworodnego nad przeciętną miarę, lecz i zwykłe naśladownictwo odgrywało zdaje się w danym wypadku niepoślednią rolę.

Syn talent przyniósł ze sobą — pisze Franciszek Rawita Gawroński [1]) — naukę zdobył, a te ziarna, z których wyrastały później sympatye polskie dla Rossyi w chwilach największych krzywd, doznawanych przez naród polski, wpadły zapewne w dziecinną jeszcze duszę z rozmów i uczuć ojcowskich.

Doskonale wpływy odeskie charakteryzuje wierny przyjaciel naszego krytyka, Jan Krechowiecki. „Ówczesne liceum Richelieugo — są jego słowa — miało na czele swojem sławnego księdza ex-Jezuitę Nicole. Oprócz innych umiejętności gruntownie wykładanych, starożytna i nowożytna literatura najobszerniej traktowaną była, przy dokładnej i wedle zasad prowadzonej nauce wszystkich europejskich języków. Arystokracya moskiewska z Petersburga tu synów swoich nadsyłała dla korzystnego ich w nauce usposobienia i przyjęcia cudzoziemskiego poloru, tak potrzebnego w dyplomatycznym zawodzie, do jakiego przeznaczeni byli. Z tej to epoki datują niektóre znajomości petersburskie Michała, które on potem, mieszkając stale w Warszawie, odnowił.

„Pomimo znacznych niezawodnie korzyści, jakie z nauk tam pobieranych odniósł, postępu w językach francuskim, łacińskim i włoskim, a nawet w początkach angielskiego, nie można przemilczeć, iż to w połowie cudzoziemskie wychowanie, wśród indywiduów obcego plemienia, nie wywarło korzystnego wpływu na umysł zanadto jeszcze młody i giętki, aby się mógł od nacisku obczyzny dostatecznie obwarować. Przecież siłą pierwotnej impulsyi przechował w uczuciu, w składzie myśli barwę swojską narodową; i tym instynktem powodowany, zaraz po śmierci ojca liceum opuścił i za otrzymanem zezwoleniem matki na dłuższy niż zamierzał pobyt do Warszawy wyruszył. Pozostało mu wszakże z pierwotnych tam w liceum odebranych wrażeń jakieś kosmopolityczne wyobrażenie stosunków towarzyskich, gdzie forma pewnej dystynkcyi zastąpić mogła brak istotnego wychowania i obyczajów, tych koniecznych warunków prawdziwej społecznej kultury. Polor tam był ostatnim cywilizacyi wyrazem, i w tem też właśnie zachodziła rażąca sprzeczność z rysami nie tak ogładzonymi, nawet może szorstkimi, dawnego a tak powszechnego i do ośledniejszych szczebli towarzystwa rozciągającego się uobyczajenia szlacheckiego w Polsce i na Rusi.

„Otóż młody podówczas Michał Grabowski olśniony był tym fałszywym połyskiem; lubo dojrzalszym potem poglądem różnice

[1]) Fr. Rawita Gawroński (j. w.) 34.

te dostatecznie oceniał, jednak z tem pobłażaniem, z tą łatwością wchodzenia w stosunki i zawikłania siebie w niewłaściwe pozory, prawie do ostatnich dni życia swego pozostał. Przypisać to należy w większej części i temu półcudzoziemskiemu wychowaniu, jakie odebrał w Odessie, zamieszkaniu swemu w tym kącie Ukrainy, zasiedlonej wówczas moskiewską arystokracyą, z jaką mimowolne z sąsiedztwa wynikały stosunki,. i jakich on, uwiedziony dworskością i łatwością ukształconego pożycia, nie tak starannie unikał.“ [1])

Lepiej chyba i sprawiedliwiej nie można było ocenić tła, na którem krystalizowała się duchowa sylwetka znakomitego krytyka. Dzięki uwagom wytrawnego człowieka, co nie wchodził w żadne kompromisy z silniejszym stokroć przeciwnikiem a anormalność polsko-rossyjskich stosunków odczuł aż nadto dotkliwie na własnej skórze, możemy rozwiązać dalsze ogniwa zagadki, musimy raz jeszcze wyrazić zdziwienie, dla czego lat tyle absolutnie nikt nie próbował postawić ogromnych zasług jednego z luminarzy polskiej kultury we właściwem świetle i uratować go od lekceważącego i krzywdzącego tak bardzo zapomnienia. Lepiej jednak późno to uczynić niż nigdy. To też z prawdziwem zadowoleniem musiał każdy myślący a tendencyjnością nie zarażony umysł, powitać pracę dr. Tadeusza Grabowskiego, której szkic niniejszy jest tylko drobnem uzupełnieniem...

„Taki rodzaj wychowania [2]) mógł wydać tylko krytyka. Ten bowiem powinien posiadać zdolność przeniknięcia i objęcia poglądów i nastrojów najbardziej skrajnych: gdy je wszystkie zrozumie, z wszech stron obejrzy i rozważy, potrafi się wznieść do własnej syntezy, nie iść za głosem większości, stanąć na czele opinii swego czasu. Umysł bystry, przenikliwy, sceptyczny, wybiegający za ciasne koło jednostronności, widział wszystkie złe i dobre strony ówczesnej polityki i sądził, że lepiej czekać niż przenosić niepewną przyszłość nad znośną teraźniejszość. Jeżeli kiedyś żałował, że nie dał się porwać odmętom wraz z dawnymi przyjaciółmi, to chyba tylko przelotnie.“

W Warszawie zetknął się Grabowski z serdecznymi druhami swoimi ze szkoły humańskiej; uczęszczał pilnie na wykłady historyi i literatury a z musu na utrzymanie równocześnie pracował

[1]) Jan Krechowiecki j. w. str. 6—8.
[2]) Tad. Grabowski j. w. str. 16.

w biurze swego imiennika, ministra wyznań i oświaty. Były to czasy niezwykle gorące: w literaturze romantyzm odnosił jedno zwycięstwo po drugiem nad broniącym się zawzięcie klasycyzmem; w polityce przygotowywał się wybuch listopadowy, który miał najruchliwsze i najtęższe polskie umysły wyrzucić na emigracyę. Jaki udział przypadł Grabowskiemu w tej walce starego świata z młodymi, nie wiemy dokładnie; do pewnego stopnia wyjaśnia jednak jego stanowisko artykuł, którym rozpoczyna swój chlubny zawód literacki. Oto w 1828 r. ogłasza on w *Dzienniku Warszawskim* „Myśli o literaturze polskiej“ i „O melodyach ukraińskich“. Zapewne o nich myślał Jan Krechowiecki pisząc:[1]) „Grabowski artykułem o ludowej poezyi, gdzie już o warunkach narodowej poezyi i powieści przemawia, dał dowód niezwykłej cywilnej odwagi i tym aktem, mało dziś znanym, zawód swój literacki otworzył“.

Tej atoli strony jego życia dotykamy jeno mimochodem, śledząc z całą uwagą wszystkie czynniki, które doprowadziły naszego krytyka do potępionego tak powszechnie i gorąco programu politycznego. Domysł łatwy, że o ile brał on udział w konwentyklach konspiracyjnych, poprzedzających wybuch powstania, stanowił wśród rozgorączkowanych umysłów element trzeźwy, krytycznem, badawczem okiem śledzący wszelkie przejawy: nie wahający się z własnem zapatrywaniem wystąpić, choćby wbrew poglądom najserdeczniejszych przyjaciół. Tak przynajmniej wnioskować można ze słów Jana Krechowieckiego, z którego ciekawej broszurki znowu dłuższy ustęp powtórzyć uważamy za niezbędne:

Grabowski na żądanie matki, potrzebującej w gospodarstwie pomocnika i opiekuna, rzuca w 1830 r. mury Warszawy i przenosi się do Aleksandrówki, gdzie obok przymusowych zajęć około roli, z zamiłowaniem poświęca się studyom literackim, etnograficznym i historycznym. „Do powstania w 1831 r., zrobionego już po wybuchu tegoż na Ukrainie i Podolu, czynnie nie należał, bo kraińcowym powiatôm Ukrainy ściągające się wojsko rossyjskie przeszkodziło. Ale czynnie i najgorliwiej na miejscu do tej pory działał i we wszystkich zjazdach ruch ogólny przygotowujących, uczzestniczył. W tem właśnie objawił on bezwarunkową uległość duchowi opinii narodowej, z którą na pół roku przedtem w Warszawie sprzecznym się być ośmielił, pomimo przewagi cenionego

[1]) Jak wyżej, str. 11.

przez siebie wysoko Maurycego Mochnackiego i Jozafata Bolesława Ostrowskiego, który w ówczesnym klubie na Starem mieście zbierającym się, rej wodził. Nawet zdaniu bliższych sercu swemu J. B. Zaleskiego i S. Goszczyńskiego stanowczo się w tej mierze oparł, z którymi nawet odjeżdżając na Ukrainę, stosunki zerwał. Mimo to jednak z Joachimem Lelewelem znosił się, oświecał go o usposobieniu w prowincyach do zamierzanego ogólnego ruchu; miał nawet od niego przyjąć jakieś polecenia i komunikacye, których później Anastazy Dunin i Włodzimierz Kormański się podjęli, ale tych już dla tego właśnie chwilowego nieporozumienia z przyszłymi przywódcami powstania nie odebrał.“ [1])

Powstanie runęło. Ciężka dłoń reakcyi zaciążyła nad społeczeństwem polskiem i całym jego kulturalnym dobytkiem; towarzysze Grabowskiego, z którymi on ścierał się gorąco na Starem mieście w Warszawie, ruszyli z rozdartem sercem na emigracyę lub zamknęli się, odosobnieni i osamotnieni, w ciasnych kółeczkach rodzinnych, o ile — rzecz prosta — karząca prawica obrażonego rządu ich nie dotknęła, a równocześnie goreć zaczyna w Aleksandrówce ognisko nowego literackiego życia, ku któremu coraz tłumniej zwracają się pracownicy pióra, rozsiani po wszystkich Polski zakątkach. Każdy dzień poczty dostarczał nowej obfitej seryi listów. W jednych proszono o rady i wskazówki, o moralne poparcie; inne zawierały rękopisy nadsyłane do oceny, a Grabowski „z zupełną wyrozumiałością i dobrocią, pomimo, iż mu to zajęcia przyczyniało, wymaganiom tym starał się najzupełniej odpowiedzieć i najmniejszego z tych pism bez stosownego zadośćuczynienia żądaniom, w nich zawartym, nie zostawiał.“ [2])

Wieść o niezwykłej popularności humańskiego wychowańca przedostała się rychło za granicę, gdzie dawni jego koledzy bacznie śledzili cały ruch literacki w kraju. Liczne tego dowody w listach Zaleskiego i Goszczyńskiego, w których częste bardzo wzmianki znajdujemy o uczonym krytyku. „Michał nasz przewyborny pisarz — informuje np. Bohdan Seweryna 8. grudnia 1838 r. — nie mogę się nadziwić jego rozumowi i poczciwości“. [3]) „Nasz Michał — donosi Zaleski znowu 3. grudnia 1840 r. z zachwytem temuż Goszczyńskiemu — kropi i kropi. Czytałem trzeci

---

[1]) Jan Krechowiecki j. w. 24.

[2]) Ibid. 20.

[3]) Korespondencya J. B. Zaleskiego w „Przew. nauk. i liter.“, Lwów 1899, str. 685.

tom „Literatury i Krytyki", tudzież różne jego artykuły po dziennikach. Są w nich rzeczy wyborne, ale dużo trzebaby o tem pisać. Dość, że został szlachcic dyktatorem w Rzeczypospolitej literackiej nad Wisłą, Wilią i Dnieprem. I piastuje godnie swe dostojeństwo i lud pisarski boi się go, szanuje i daje się powodować. Ależ sprytna sztuka. Powiedz, hajduko, skąd mu się to wzięło? Czy go Bazylianie humańscy inaczej uczyli niż nas? Bez żartu, Sewerynie, Michał nasz, podniosły to i głęboki umysł, podnioślejszy i głębszy, niż czyjbądź między literatami polskimi, dla tego też wyśmienity wpływ wywiera na współczesne rzeczy w kraju." [1])

* * *

Michał Grabowski stał właśnie u szczytu sławy i znaczenia, gdy zjawił się na Wołyniu jego zły duch i nieszczęście w osobie Henryka hr. Rzewuskiego. Wywarł on na karyerę polityczną „dyktatora w Rzeczypospolitej literackiej" rolę decydującą: wykopał pośrednio przepaść między znakomitym krytykiem a społeczeństwem ówczesnem. Ujął go darem genialnego odtwarzania przeszłości szlacheckiej w *„Pamiątkach Imci Pana Seweryna Soplicy"* i wspólnością religijnych przekonań. Dzieło hr. Rzewuskiego przyjęto z zapałem jako mistrzowskie odzwierciedlenie Stanisławowskiej epoki. Autor *„Pamiątek"* odrazu urósł na olbrzyma nie tylko w swojej wyobraźni, ale w przekonaniu całej inteligencyi polskiej, zapragnął więc wziąć czynny udział w ówczesnym ruchu umysłowym, ba nawet ująć za pierwsze w nim skrzypce. Wstępem do tego stał się zjazd cudnowski, w którym w pięknej siedzibie hrabiego nad Teterowem wzięli udział, prócz gospodarza, Grabowski, Kraszewski, ks. Hołowiński, panna Regina Korzeniowska, popularna autorka atlasu historycznego, przyjaciel Zygmunta Krasińskiego Jaroszyński, dwóch Budzyńskich i kilku innych miłośników literatury. [2]) Przyjęto wspólny program działania a jako organ dla szerzenia zdrowych haseł literackich wybrano *Tygodnik petersburski.*

---

[1]) Ibid. str. 877.

[2]) Piotr Chmielowski: „Józef Ignacy Kraszewski". Kraków 1888, str. 116—117.

I o tem wiadomość pomknęła do kolegów humańskich Grabowskiego na emigracyę. „Nie wiem, czy macie *Tygodnik petersburski?* — pyta w czerwcu 1841 r. Zaleski ks. Józefa Hubego w Rzymie.[1]) — Co tam (na Ukrainie) za ruch literacko-religijny! A na czele tego ruchu przyjaciel mój stary, od dziecka, Michał Grabowski. Duch katolicki powidomu wzmaga się w nich i szerzy się na okoliczne prowincye, pomimo oporu Warszawiaków i Poznańczyków. Michał też mój nadzwyczaj zręcznie i umiejętnie prowadzi rzecz: prawdziwy bo to minister. Teraz Ukraińcy wydają tłumaczenie Ojców Kościoła. Spółpracownikami są, oprócz Michała Grabowskiego, Henryk Rzewuski, ks. Hołowiński, Świdziński poseł, bracia Przeździeccy, Szczeniowski itp., sami ludzie majętni i poważni. Okiełznali już młodszych literatów, a nawet samego Kraszewskiego.[2]) Wszyscy społem w jednej myśli i w jednym duchu pracują, choć na różnych niby drogach. Szczęść im Boże!"

Rychło jednak bardzo po owym historycznym zjeździe Kraszewski odskoczył od Rzewuskiego: wyczuł zgubną misyę hrabiego i zatrąbił do odwrotu. Inaczej sprawa miała się z Grabowskim i „rzecz dziwna, że jakkolwiek mocą dzielnego umysłu swego ze złudzeń młodzieńczych wrażeń swoich się podźwigał, ulegał jakby mimowolnie tej słabości pobłażania dystynkcyi rodu, jaką wyniósł z kosmopolitycznego odeskiego liceum, aż do usprawiedliwienia nagannego pod tylu względami, a tem bardziej w Polaku, indyferentyzmu politycznego."

Rzewuski „korzystając ze znanej słabości Grabowskiego dla imion historycznych, potrafił nakłonić go do podziału wszystkich mniemań swoich o stanie prowincyów naszych, o potrzebie przerobienia ich ducha, zawarowania od wszelkich wpływów emigracyi, zagrażających bliskiem i wiszącem już nad głowami niebezpieczeństwem."

„W tej myśli zwracał on uwagę Michała Grabowskiego na wszystkie te jałowe bez skutku usiłowania, jakiemi się naród

---

[1]) Koresp. Bohd. Zaleskiego j. w. str. 964.

[2]) Stwierdza to choćby prospekt „Athenaeum" (Tom V. 21. luty 1841 r.), skreślony ręką I. J. Kraszewskiego, w którym czytamy słowa: „Athenaeum na pierwszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych zdrowych..." albo dalej: „Starać się będziemy umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na walną sprawę pobratania filozofii z katolicyzmem..."

w tylu już pokoleniach gorączką bezowocnej czynności przetrawia, że wielkąby zasługą było z tego upojenia młodsze przynajmniej pokolenie wyprowadzić, dotychczasowe wszystkie czynności i podjęte usiłowania zasłużoną pogardą i śmiesznością pokrywając, czego on już w gotującej się publikacyi „Mieszanin obyczajowych“ po części dokonał. Rzeczy godne ocalenia, wiarę, język, nawet obyczaje, można pod protekcyą Moskwy uchować; z czasem nawet przy uczestnictwie w rządzie, przewagą wyższej kultury, można sobie wpływ podobny jak Niemcy wyjednać: ale przedewszystkiem z myślą udzielności wszelkiej rozstać się należy. Zagrażał, że są już projekta zerwania stosunków z Rzymem, zniesienia druków polskich i wszelkiej w tym języku publikacyi. Takiemi i tym podobnemi insynuacyami męczył on wrażliwą imaginacyę Grabowskiego, która mu co chwila przedstawiała spełnić się mogące: upadek Kościoła, skasowanie narodowego języka, bo to już odjęcie praw i reforma zakładów naukowych zapowiadały.“ [1])

Michał Rolle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) Jan Krechowiecki j. w. str. 26—28.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

III.

Instytucye edukacyjne protektoratu Czartoryskich.

Treść: 1. Dawniejsze zasługi Czartoryskich na polu oświaty narodowej. — Katedra literatur słowiańskich w Paryżu. — Współdziałanie Adama Czartoryskiego przy jej zakładaniu.

2. Osada polska w Adampolu. — Polacy w Konstantynopolu. — Szkoła adampolska.

3. Początki organizacyi wychowania dziewcząt. — Pensyonaty żeńskie dla obcych. — Projekt Domu wychowania uzupełniającego Klementyny z Tańskich Hofmanowej. — Eksternat dla panienek Adamowej Pilińskiej. — Societé charitable. — Dom wychowawczy dla panienek polskich. — Ks. Anna z Sapiehów Czartoryska. — Instytut panien polskich w Hotelu Lambert. — Cel instytutu i jego program naukowy. — Zmiany w organizacyi zakładu. — Szczegółowy program z r. 1895. — Grono nauczycielskie. — Prof. Kunat. — Prof. Gasztowtt. — Uczennice: warunki pzyjęcia. — Liczba uczennic. — Miejsca płatne i bezpłatne. — Uniformy uczennic. — Ekonomka. — Dyrektorki. — Stosunek do zakładu jego założycielki i jej córki. — Rada Instytutu. —

Koszta utrzymania. — Źródła dochodów. — Kontrola rządowa. — Znaczenie Instytutu.

4. Edukacya młodzieży nieszlacheckiej. — Dom św. Kazimierza w Paryżu i Dom św. Stanisława w Juvisy pod Paryżem. — Komitet opiekuńczy Domu. — Rada opiekuńcza czyli administracyjna. — Plan naukowy w szkole dziewcząt i w szkole chłopców. — Pożyczka p. Grocholskiej. — Źródła dochodów zakładu.

5. Szkoła wojskowa w Paryżu.

6. Napływ młodzieży polskiej do Francyi po r. 1846 i 1848. — Szkoła przygotowawcza polska w Paryżu. — Ofiara Wodzińskiego. — Organizacya pierwotna szkoły. — Szkoła wyższa polska. — Własny gmach szkolny. — Cel szkoły. — Warunki przyjęcia. — Organizacya nauki. — Profesorowie szkoły. — Dodatkowy kurs wojskowy. — Regulamin szkolny. — Frekwencya zakładu. — Rada szkoły. — Dyrektorowie szkoły. — Koszta utrzymania szkoły. — Źródła dochodów: Subwencye rządowe. — Rok 1870. — Opłaty uczniów. — Składki publiczne i ofiary prywatne. — Znaczenie szkoły.

1. Rodzina Czartoryskich odegrała i w dziejach oświaty wychodźctwa polskiego wybitną rolę. Głównym inicyatorem i promotorem znanego nam już Towarzystwa pomocy naukowej był nie kto inny jak książę Adam Czartoryski. Żona jego z Sapiehów księżna Anna Czartoryska kierowała znów losami Towarzystwa Dobroczynności Dam polskich, które służyło także sprawie oświaty. Znaczna więc część pierwszego dorobku edukacyjnego emigracyi polskiej po roku 1831 była owocem pracy i zabiegów tej zasłużonej rodziny magnackiej.

W założeniu i utrzymaniu szkoły polskiej batyniolskiej rodzina Czartoryskich nie brała żadnego udziału. Rozpoczęła jednak prawie równocześnie nową akcyę na własną rękę i w innym kierunku. Cały szereg bardzo pożytecznych instytucyi emigracyjnych, powstałych w czterdziestych latach, zawdzięcza familii Czartoryskich, jeżeli nie cały byt, to w każdym razie energiczne poparcie.

Katedra literatur słowiańskich w Collège de France jest w pewnej części owocem zabiegów emigracyi polskiej, popieranych skutecznie przez Adama Czartoryskiego. Historya katedry jest powszechnie znana, nie będę jej tu reprodukował. Poprzestanę na zestawieniu szczegółów genezy katedry.

Aleksandryna Wołowska, kuzynka pani Celiny Mickiewiczowej a żona Leona Faucher'a, od r. 1839 naczelnego redaktora dziennika: „Le Courrier français", dała pierwszy impuls. Leon Faucher żył w zażyłych stosunkach z Thiers'em i Cousin'em, domniemanymi kandydatami do tek ministeryalnych. Zanim jeszcze Cousin został ministrem oświaty, dowiedział się od Fauchera o Mickiewiczu i powziął myśl uposażenia w Paryżu katedry literatur słowiańskich.

Dn. 1. marca 1840 r. Thiers został prezesem gabinetu a Cousin ministrem oświecenia publicznego. Faucher nie zasypiał sprawy katedry w Paryżu a na Mickiewicza nalegał, aby ją koniecznie przyjął. Pisał mu, że utworzenie katedry słowiańskiej stałoby się faktem wielkiej doniosłości; wygnańcy polscy znaleźliby punkt skupienia się i w braku ojczyzny politycznej ojczyznę literacką.

Mickiewiczowi było w Lozanie dobrze; jeżeli mimo to skłaniał się do przyjęcia katedry, to kierowały nim wyższe narodowe względy. Z wolnej katedry paryskiej miał sposobność przemówić publicznie do ludów Europy w imieniu Polski, skazanej dotąd na milczenie, mógł roznieść skargi jej po świecie i wtajemniczyć ludy w jej skarby moralne, w jej bóle i nadzieje. Idąc za tem przekonaniem, doniósł Mickiewicz p. Faucher'owi, że katedrę przyjmuje, a jednocześnie zapewnił Cousina, że nie zamyśla wcale politykować ex cathedra. Cousin postanowił katedrę otworzyć. Książę Adam Czartoryski ułożył dla ministra oświaty memoryał, wykazując doniosłość polityczną podobnej katedry, a Faucher zredagował uwagi o korzyściach literackich. Na podstawie obu tych pism ułożono raport, mający się złożyć królowi.

Sprawa katedry, zyskawszy aprobatę ministra skarbu, dostała się do Izby deputowanych, zaopatrzona w odpowiednie exposé des motifs. Projekt katedry przeszedł ostatecznie ogromną większością. Uzyskał także jeszcze gładsze zatwierdzenie w Izbie Parów.

Chodziło już tylko o nominacyę kandydata. Mickiewicz zapewniał dnia 17. lipca 1840 r. księcia Czartoryskiego, że katedrę przyjmuje „szczególnie w tym celu, aby to naukowe stanowisko obronić od spekulacyi Niemców sprawie naszej nieprzychylnych". Minister Cousin ociągał się z nominacyą, bał się skarg posłów austryackiego i rossyjskiego i wyrzutów króla Filipa „nader lękliwego w tych matniach". Czartoryski zaręczył ministrowi, że Mickiewicz nie będzie „się bawił palnemi i drażliwemi materyami", a minister nie pożałuje wyboru Mickiewicza.

Minister Cousin podpisał reskrypt nominacyi Mickiewicza dnia 8. września 1840 roku na profesora nadzwyczajnego tymczasowego literatury słowiańskiej. Nominacya na profesora zwyczajnego miała nastąpić po naturalizacyi.

Z powodu powołania Adama Mickiewicza na katedrę napadł na niego znienawidzony potwarca emigracyjny, który się rzucał na wszystkich, co mieli zasługi i znaczyli wiele w wychodźctwie. Był nim znany nam już z wstrętnych oszczerstw, miotanych na Radę szkoły batyniolskiej, Józef Bolesław Ostrowski.

Zarzucał Mickiewiczowi Ostrowski, że katedrę wyrobił sobie protekcyami, zamiast ją zdobyć konkursem, głosił, że odpowiedniejszymi kandydatami byli Lelewel, Szafarzyk, Hanka, Jungmann, Kollar, nie wchodząc w to, że Lelewela wydalił z Francyi rząd francuski, i nie pytając wcale, czy reszta kandydatów władała należycie językiem francuskim i była skłonną przybyć do Paryża.

Mickiewicz zbył obelżywą napaść milczeniem, na co ona zupełnie zasługiwała jako produkt denuncyanta za cudze pieniądze.

Lekcya wstępna miała miejsce dn. 22. grudnia 1840 roku i odniosła zupełny sukces. Powodzenie wzmagało się z biegiem czasu.

Dalsze losy wykładów Mickiewicza i dzieje katedry pomijamy. Dodamy tylko za prof. Ludwikiem Léger'em, obecnym profesorem na katedrze literatur słowiańskich, że, gdyby nie geniusz Adama oraz sympatye, które Polska wzbudzała i nadzieje w niej pokładane, to prawdopodobnie projekt jej założenia nie byłby przedłożony Izbom albo przynajmniej byłby odroczony. Katedra słowiańska w Paryżu może być zatem słusznie położona na rachunek zasług emigracyi polskiej i uchodzić do pewnego stopnia za owoc zabiegów Czartoryskich na polu naukowo-edukacyjnem.

Następcą bezpośrednim Mickiewicza był jak wiadomo Cypryan Robert, a po nim Aleksander Chodźko, a wreszcie Ludwik Léger.

Literatura i źródła. Mickiewicz Wł.: Żywot Adama Mickiewicza, tom II. i III., Poznań 1892 i 1894.

2. W tym samym roku, w którym otwierano katedrę literatur słowiańskich w Paryżu. powstała staraniem Adama Czartoryskiego pierwsza osada polska na wschodzie Europy. Książę Czartoryski zamierzał zaludnić wychodźcami polskimi pustkowia dawnej Bitynii i dalsze nawet okolice Azyi Mniejszej. Planowi temu zakreślił szerokie ramy. Pierwsza osada, nazwana od imienia założyciela Adampolem, powstała na gruntach małoazyatyckich nad Bosforem zakupionych przez Czartoryskiego od rządu tureckiego.

Wskutek rozmaitych niepomyślnych okoliczności do zakładania dalszych kolonii nie przyszło.

Początki Adampola sięgają r. 1840. Liczba kolonistów urosła po wojnie krymskiej, później przybyło już tylko niewiele rodzin.

Dziś Adampol liczy około 300 dusz. Liczba mieszkańców byłaby znaczniejsza, gdyby się wielu nie przesiedlało do bliskiego Konstantynopola, gdzie także sporo Polaków mieszka, rozprószonych po rozmaitych dzielnicach miasta.

Koloniści adampolscy nie mają ściśle przedzielonego gruntu i uprawiają tyle, ile kto wykarczował rządowego lasu. Ziemia nieurodzajna przynosi mało. Dochód pewien mają z sprzedaży wiśni i masła w Konstantynopolu. Z pierwotnych osadników już ani jeden nie żyje, z dzisiejszych ani jeden nie był w Polsce. W kolonii mieszkają sami Polacy, z wyjątkiem leśniczego rządowego.

Od dawna utrzymywano w Adampolu szkółkę polską, w której uczono wyłącznie po polsku. Adampolanie władają dotąd czystą polszczyzną.

Prawnik i bogaty kupiec z Konstantynopola Nikitić. ożeniony z Polką z Adampola, ofiarował w r. 1899 willę swą w Adampolu na mającą się tamże założyć stałą szkołę i na mieszkanie dla nauczyciela.

W następnym roku sprowadzili sobie Adampolanie nauczycielkę z Konstantynopola p. Gajewską.

W r. 1905 uczył w szkole nauczyciel z Poznańskiego Ziołkowski.

Literatura i zródła. Czermiński M. ks. T. J.: Wspomnienie z misyj między Polakami nad Bosforem. w Bośnii i na Krecie, W Krakowie 1901. — Inlender A.: Polski zaścianek w Azyi w „Życiu i sztuce“, piśmie dodatkowem do Kraju, Petersburg, 1905, nr. 21, str. 7. — Misye katolickie w r. 1898, str. 305 i 1900 str. 90, 231.

3. Katedra literatur słowiańskich i sprawy oświaty szkolnej w osadzie adampolskiej były przedmiotem tylko moralnej opieki Czartoryskich.

Pozatem powstał w Paryżu w czterdziestych latach XIX. wieku szereg instytucyi, które rodzina Czartoryskich podtrzymywała nie tylko przemożnym swym wpływem lecz także w znacznej mierze ofiarami materyalnemi. Do rzędu tych instytucyi należy: Instytut panien polskich w Hotelu Lambert, Domy św. Kazimierza i św. Stanisława, Szkoła wojskowa oraz Szkoła montparnaska.

Emigracya polska w Francyi zajęła się najprzód organizacyą edukacyi dla młodzieży męskiej. Książę Adam Czartoryski, jak to wykazaliśmy, wziął w tej pracy walny udział.

Niebawem zabrano się do organizowania edukacyi kobiet.

Pierwsze usiłowania jednak zwracały się w inną stronę. Zamierzano otworzyć pensyonaty i eksternaty dla obcych, dla zarobku.

W r. 1832 osiedliła się w Paryżu doświadczona już i znana w świecie pedagogicznym Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, była inspektorka szkół żeńskich w Królestwie Polskiem. Zachęcona przez przyjaciół postanowiła otworzyć Dom wychowania uzupełniającego (Maison d'éducation complémentaire), przeznaczony wyłącznie dla panienek zamiejscowych, pragnących uzupełnić edukacyę oraz dla takich, które po ukończeniu edukacyi, chciały czas jakiś spędzić w Paryżu.

Chcąc z zakładu zrobić niejako ognisko rodzinne, zamierzała Hoffmanowa przyjąć małą tylko liczbę uczennic: najwyżej dziesięć. Opłata za naukę wraz z utrzymaniem miała rocznie wynosić 3.000 fr., w czem nie była objęta nauka malarstwa, muzyki itp. przedmiotów.

Hoffmanowa zamierzała przyjmować panienki tylko z domów dystyngowanych w okresie życia, w którym się kończy pospolicie edukacya kobiet, i obiecywała w przeciągu dwu do trzech lat przy pracy rozważnej i metodycznej uzupełnić ich edukacyę a zarazem wprowadzić je na właściwą drogę ich przeznaczenia i szczęścia.

W szczegółach Hoffmanowa podejmowała się uformować postawę i ruchy uczennic, aby im dać ową ogładę, ów polor, który podwaja wartość młodości i piękności i trwa dłużej od nich.

Zamierzała rozwinąć ich siły fizyczne, utrwalić ich zdrowie, pouczając je z potrzebną ostrożnością o naturze ciała ludzkiego, o funkcyach najważniejszych jego organów i o ich własnej natu-

rze, aby znały same siebie i mogły żyć według należycie pojmowanych zasad hygienicznych.

Zamierzała przyzwyczajać je do poprawnego i eleganckiego wyrażania się w mowie i pismie.

Z wiedzy ludzkiej uczennice miały przyswoić sobie to wszystko, co im w późniejszem życiu niezbędnie jest potrzebne jako żonom i pierwszym nauczycielkom dzieci, miały uporządkować i uzupełnić wykształcenia swoje tak, iżby ono tworzyło nadobne kontury wielkiego obrazu wiedzy ludzkiej, mającego się później wykończyć według osobistego gustu lub stosownie do pozycyi społecznej.

Innem zadaniem edukacyi w projektowanym zakładzie miało być wykrywanie i pielęgnowanie w każdej poszczególnej uczennicy wrodzonej jej specyalnej zdolności lub pociągu do jakiejś nauki lub sztuki, lub zajęcia pożytecznego jako środka zbawiennego przeciw zboczeniom młodej wyobraźni i nudom dalszego życia.

Uczennice miały dalej przyzwyczaić się do obowiązkowości, nauczyć się sprawności i zamiłowania pracy. Miały się nauczyć jasno pojmować powołanie swego stanu, znajdować w niem upodobanie, miały poznać wrodzone kobietom wady i zalety i ukształcić swój charakter dla szczęścia swego własnego i innych.

Zakład podejmował się wdrażać uczennice do roztropnego praktykowania miłosierdzia, zwłaszcza miał im dać należyte pojęcie o obowiązkach bogatych względem ubogich.

Nareszcie celem edukacyi uzupełniającej miało być zaszczepienie pobożności prawdziwie chrześcijańskiej, ewangielicznej, tolerancyjnej, która daje ulgę i słodycz sercu, krzepi wolę, rozjaśnia umysł, owej pobożności, owego szlachetnego pokarmu duszy, która jest wszędzie i w wszystkich okolicznościach źródłem żywem i obfitem, z którego kobieta ma czerpać dla siebie moc, pociechę i światło nie tylko w chwilach wyjątkowych, lecz także w trudach codziennego życia często bardzo niepozornych lecz zawsze doniosłych.

Do osiągnięcia tych ważnych celów miały służyć dwie drogi od siebie nierozłączne: wychowanie istnie domowe i nauczanie.

Hoffmanowa nie określa wychowania domowego czyli, jak je nazywa, macierzystego: to praca okoliczności, to dzieło serca, doświadczenia, przykładu, sumienia.

Na część naukową zakładu miały się składać wykłady profesorów, czytanie najlepszych dzieł, planowe odwiedzanie rozmai-

tych zakładów naukowych i zbiorów sztuki i nauki, istniejących w Paryżu, oraz pilne nadzorowanie pracy uczennic.

W program nauki miał wejść: język francuski, historya naturalna, historya, literatura, geografia, historya sztuk pięknych, arytmetyka, historya i sztuka dobroczynności oraz wykład o przeznaczeniu i obowiązkach kobiety.

Dla celów pielęgnowania specyalnych talentów miał być redagowany przez uczennice zakładu pod kierunkiem dyrektorki *Dziennik naukowy.*

Na końcu pomieściła Hoffmanowa szczegółowy program zajęć dziennych i tygodniowych.

Kurs nauk przy należytem przygotowaniu uczennic miał trwać dwa lata.

Około tego samego czasu powzięła myśl założenia „Eksternatu dla panienek“ pani Adamowa Pilińska. Jako ostateczne cele eksternatu wysunęła Pilińska: religijność, umiłowanie pracy, posłuszeństwo dla rodziców, wszystkie obowiązki dobrej matki. W plan naukowy miał wchodzić: język francuski, geografia, historya, mitologia, religia, kaligrafia, arytmetyka, buchalterya, rysunki, muzyka, roboty ręczne itp.

Ale projekty te, które nie miały powodzenia i mieć go nie mogły, nie liczyły się z potrzebami emigracyi polskiej.

Dla wychowania chłopców zrobiono już na emigracyi sporo. Pole wychowania dziewcząt leżało dotąd odłogiem. Aby zorganizować edukacyę dziewcząt polskich, zawiązało się osobne Towarzystwo (Société charitable) w tym celu, aby stworzyć Dom wychowawczy dla panienek polskich (Maison d'éducation pour les jeunes polonaises).

W Odezwie, wydanej przez to Towarzystwo dn. 10. września 1844 r. określono zadania zakładu i podano zarys programu. Zakład miał zdążać do dwu celów: zamierzał dostarczyć środków przyzwoitej egzystencyi wielkiej liczbie sierot polskich wychodźców, a północnej i wschodniej Europie fachowo wykształconych nauczycielek.

Dom wychowawczy miał mieć w planie naukę religii, język polski i historyę polską, języki obce, muzykę, rysunki i rozmaite roboty kobiece.

Na czele zakładu miała stanąć wypróbowana nauczycielka. Towarzystwo liczyło na poparcie ogółu. Myśl założenia Towarzystwa wyszła od hr. Olizara, kasztelana senatora Król. pol., i od

księdza Sadowskiego. Oni też podpisali pierwszą odezwę Towarzystwa, Olizar jako prezes, a Sadowski jako kasyer Towarzystwa.

Rada Towarzystwa miała się składać z siedmiu osób.

Myśl ta upadła, nie pozostawiwszy po sobie żadnych realnych śladów. Zamiar Towarzystwa wykonała w innej nieco formie księżna Anna z Sapiehów Czartoryska, która podobnie jak jej mąż Adam, zapisała złotemi literami imię swoje w dziejach oświaty na emigracyi francuskiej.

Księżna Anna postanowiła mianowicie zorganizować w Paryżu szkołę dla córek szlachty polskiej na wzór tej, która zasłynęła w Puławach przed rokiem 1831.

Na ten cel ofiarowała u siebie w Hotelu Lambert w Paryżu przy ulicy St. Louis en l'Isle nr. 2. obszerny lokal i otwarła w nim dn. 2. kwietnia 1845 Instytut panien polskich, zaopatrzywszy go w wszystkie naukowe i materyalne środki. Na początek przyjęto dwanaście panienek; liczba ich miała się pomnażać z biegiem czasu w miarę rosnących środków.

Głównym celem Instytutu było zapewnienie córkom wychodźców polskich dobrodziejstw wychowania narodowego, czuwanie nad ich wychowaniem moralnem i religijnem i nad ich wykształceniem umysłowem. Cała edukacya miała im zapewnić przyszłość. Dążono mianowicie do tego, aby uczennice wykształcić na zdatne nauczycielki.

Z tego powodu przyjęto w Instytucie program nauk, który zobowiązywał publiczne zakłady francuskie, kształcące kandydatki stanu nauczycielskiego.

Weszły więc w pierwotny program naukowy Instytutu: nauka religii, nauka języka francuskiego i jego literatury, języka angielskiego, niemieckiego, włoskiego, w części jako przedmioty obowiązkowe, a w części jako nadobowiązkowe; prócz tego historya i geografia, arytmetyka, geometrya elementarna i zasadnicze wiadomości z astronomii, fizyki i chemii.

Poza tem uczono muzyki, rysunków i malarstwa, tańców i śpiewu i robót kobiecych.

Prócz nauk objętych programem urzędowym i wykładanych w języku francuskim wciągnął zakład w plan naukowy jako przedmioty obowiązkowe dla wszystkich uczenic naukę języka, literatury, historyi i geografii polskiej, udzielane w języku ojczystym.

Przyjmując ten program nauki, spodziewała się założycielka, że odda tym sposobem emigracyi i krajowi macierzystemu jak

najlepsze usługi, bo tamtej wykształci dzieci a macierzy dostarczy dobrych nauczycielek i guwernantek Polek.

Program nauki rozdzielono na trzy klasy a każdą klasę na dwa oddziały. Przyjmowano panienki dwunastoletnie tak, iż edukacya mogła być ukończona w ośmnastym roku życia, a więc w wieku, w którym według obowiązujących przepisów, można się było ubiegać o dyplom nauczycielski.

Zakład rozwijał się normalnie do r. 1870 i to jest pierwszy okres jego dziejów.

Główne kierownictwo spoczywało najprzód w rękach samej założycielki księżnej Anny, zmarłej r. 1864, a potem w rękach jej córki księżniczki Izabelli, która z pietyzmem prowadziła dalej dzieło rozpoczęte przez matkę. Można okres ten określić mianem francusko-polskiego. Wybitni przedstawiciele wychodźctwa polskiego i Francuzi otaczali zakład jednaką opieką aż do roku 1870.

Po wojnie francusko-pruskiej rząd francuski cofnął całkowitą subwencyę. Nastała dla zakładu chwila, w której się roztrzygało pytanie, czy on ma istnieć dalej, czy też upaść. Cały ciężar utrzymania zakładu spadł na ofiarność dobrodziejów a głównie na córkę założycielki Izabellę, zamężną hr. Działyńską. Zakład spełnił też już poniekąd znaczną część zadania swego, bo generacya córek emigrantów z r. 1831 i 1848 pokończyła lub kończyła już swoje studya. Działyńska utrzymała zakład mimo to i nadal.

Po cofnięciu subwencyi rządowej otwarto szkołę w r. 1871 tylko z dziesięcioma uczenicami, które do niej były przyjęte nieomal wszystkie w r. 1868 lub 1869.

Zmniejszenie dochodów spowodowało zmiany i w organizacyi studyów. Zwinięto mianowicie klasy wyższe, a uczenice posyłano na kursa do Sorbony, a w Instytucie samym urządzono tylko korepetycye tychże kursów.

Po roku 1881 zaszła ta zmiana, że otwarto osobną klasę dla starszych panien, przybywających z trzech dzielnic. Panny te pokończyły już były nauki w kraju, liczyły już lat 20 i wyżej a przyjeżdżały do Hotelu Lambert, aby się nauczyć języka francuskiego lub nabrać w nim biegłości.

W r. 1895 liczył zakład 18 uczenic. Podzielone były na cztery dywizye czyli oddziały. Pierwsza dywizya obejmowała uczenice, które się przygotowywały do egzaminów wyższych, druga

dywizya te. które się sposobiły do egzaminów elementarnych, trzecia dywizya składała się z Wielkopolanek, które wstąpiły do Instytutu dla wyuczenia się jezyka francuskiego. a nie miały zamiaru zdawać egzaminu. Czwarta dywizya składała się z uczenic najmłodszych, które mogły do egzaminów przystąpić dopiero za dwa lub trzy lata.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

Z Araukaryi pociąg wymija góry i skały w pobliżu bezpośredniem rzeki Iguasu, przebiegając przez kraj lekko wzgórzysty aż do stacyi Guajuvira (wym. Guażuwira), zwanej od drzewa tegoż imienia. W pobliżu jej osiedliło się sto kilkadziesiąt rodzin z Galicyi. Znajduje się tam szkoła polska.

Z Guażuwiry do stacyi Balsa Nowa, kolej przedziera się wciąż wężem przez puszczę leśną i błota nad samym Iguasem. To sąsiedztwo nie zawsze wychodzi jej na dobre. Rzeka n. p. wylała tego dnia, podmyła nasyp kolejowy i w tem miejscu pociąg nie mógł przejechać. Trzeba było wysiąść i przez pół godziny przejść kilometr drogi do innego pociągu, oczekującego już z drugiej strony podmytego miejsca.

Następna stacya na puszczy górzystej zwie się Serrinha (górka); od niej idzie odnoga kolejowa na południe do miast Lapa i Rio Negro. Bufet tam dobry; uwijał się po nim właściciel jego, Brazylianin, z zabawną i spieszną usłużnością; nalewając wódkę, podnosił równocześnie jedną nogę w tył. Zaraz za stacyą

Serrinha rozpoczyna się pasmo gór tejże nazwy. Wjeżdża na nie pociąg i wtedy przedstawia się oku szereg ładnych widoków na dalekie płaszczyzny i stepy, na rzekę Iguasu, na mosty kolejowe, wzniesione ponad tą rzeką i szczelinami skalistemi.

Lasy tu całkiem znikają — widać je tylko w bardzo wielkiej dali. Jedzie się stepami, prawdopodobnie mało żyznymi z powodu skały, znajdującej się wszędzie na stopę pod ziemią. Pastwiska za to nie są najgorsze. Nigdzie woda się nie zbiera z powodu wielkiej falowatości gruntu. Prawie na szczycie pasma Serrinhi znajduje się stacya kolejowa Tamandua (mrówkojad), po której stanęliśmy wreszcie w Restinga Secca, ostatniej mej stacyi, podczas ulewnego deszczu, który nie dozwalał rozejrzeć się po okolicy.

Wysiadłszy z wagonu około 2-giej godziny po południu miałem jeszcze 12 kilometrów do miejscowości Porto Amazonas nad rzeką Iguasu, by ztamtąd podróżować dalej parowcem. Nająć trzeba było konie od obrzydliwego mulata, który pomimo wypogodzenia się nieba pił wciąż i grał w karty. Wreszcie, gdy był już zupełnie pijany, około 5-tej godziny, zaprasza mnie poufale do swego powoziku i zabiera drugiego mulata ze sobą na kozioł.

Jadąc, wciąż odwracał się, wydrwiwał mój sposób mówienia i przedrzeźniał wyrazy francuskie, które dorzucałem do małego zapasu swego słów portugalskich. Po wybojach i spadzistych drogach, które z powodu deszczu były bardzo ślizkie, jechał jak opętaniec, śmiejąc się wciąż śmiechem wesołego idyoty. Szczęściem dla mnie ponury jego towarzysz powstrzymywał go w zbyt śmiałych pomysłach, jak wjechania w przepaść, co prawda niezbyt wielką, lecz zawsze wróżącą kalectwo pewne.

Ku memu zdumieniu wesoły mój furman zaczął kląć po polsku. Wtedy i ja zacząłem kląć niezgorzej i, aby mym towarzyszom dać do poznania, że nie jestem istotą bezbronną, wystrzeliłem kilka razy do kuropatw, zrywających się wciąż co kilkadziesiąt kroków. Szczęście myśliwskie o tyle mi posłużyło, że jedna z nich w chwili strzału zrobiła w bok ruch bardzo nagły tak, jakby kula ją dosięgła, jakkolwiek niedostatecznie, gdyż pofrunęła z towarzyszkami w krzaczysty załom wąwoza; jednakże celność strzału zaimponowała moim towarzyszom. Wywiązała się z mym mulatem rozmowa po polsku, w czasie której mówił do mnie „ty“, a skoro zbliżaliśmy się do jakiego zabudowania, zaraz zesiadał i żądał wódki, której szczęściem raz tylko dostał.

W jednem miejscu z nędznej chałupy wyszedł do mnie stary, bezzębny Brazylianin i z wielkimi honorami, tytułując mnie panie doktorze (sinior doktor), wysadził z powozu i poczęstował kawą czarną, a mego mulata „herwą mate“, a nie gorąco upragnioną gorzałką ku wielkiemu jego niezadowoleniu. Wiadomość o mej podróży ów „kaboklo“ miał z dziennika kurytybskiego.

Wyruszyłem dalej w drogę z jednym tylko żółtoskórym o baraniej czarnej wełnie zamiast włosów na głowie, gdyż jego towarzysz pozostał u Kabokla. Przygotowany byłem na parę godzin jazdy jeszcze, a tu po chwili pijany woźnica staje i krzyczy na całe gardło do mnie po polsku: „wysiadać i płacić“. Odparłem także po polsku bardzo grzecznym tonem: „Ja ci kpie nie zapłacę i ani na chwilę się tego nie spodziewaj, bo zgodziłem od ciebie furmankę do Porto Amazonas, a tu widzę tylko dwie chałupy i żadnej nie dostrzegam rzeki, nad którą znajduje się ten port“. Wtedy opatrznościowy zjawia się chłopczyk polski i objaśnia mnie, że to rzeczywiście Porto Amazonas, tylko rzeka jest w dole i jej nie widać, a statku jeszcze niema.

Wysiadłszy i zapłaciwszy, wywiaduję się o pana Amazonasa Pimpão, do którego miałem list polecający od szefa biura kolonizacyjnego. Nie zastałem go w domu. W chwili, kiedy toaleta moja była w stanie jak najopłakańszym z powodu drogi, znalazłem się nagle pośrodku grona wesołych młodych Brazylianek, z którymi zawiązałem rozmowę na migi, ale bezskutecznie. One chichotały się ciągle, spoglądając na mnie z pod oka i dając znaki dla mnie niezrozumiałe. Byłem w sytuacyi komicznej i bez wyjścia przez kilka długich chwil, gdy wreszcie zjawił się pan domu, mówiący cokolwiek po francusku.

Doznałem od niego i od całej rodziny gościnności tak serdecznej, jak gdybym był tej rodziny najbliższym krewnym. Trzy dni oczekiwania statku parowego przeszły mi zabawnie i szybko.

15. i 17. października. — Porto Amazonas nad rzeką Iguasu.

Oprócz zauważonych przezemnie w chwili przybycia do Porto Amazonas 2-ch domków, hotelu i mieszkania państwa Amazonas, ujrzałem o kilka stai w bok coś w rodzaju dwóch długich stodół, których nie wziąłem zrazu za mieszkania ludzkie. Stylu architektonicznego tych gmachów nie zdołałbym określić bliżej,

gdyż przypominał on nie gotyk lub renesans, lecz raczej psie budy.

Były to szopy pełne naszego wychodźctwa, złożonego z Mazurów galicyjskich, wyczekującego łódek, które je miały lada dzień przewieść na miejsce przeznaczenia. W szopach tych kobiety szyły, prały, gotowały, a mężczyźni albo się naradzali albo opowiadali sobie dykteryjki; ci zaś, którzy mieli dubeltówki, chodzili na polowanie: inni piłowali drzewo, przygotuwując je do dalszych szop, które miały niebawem powstać, chwalili mi drzewo sosny araukaryi, jako idealne, bo niemające wcale sęków. Burmistrzował pomiędzy nimi mój mulat woźnica, którego nasi wychodźcy ostro zgromili za zbytnią względem mnie poufałość.

Chłopcy uprawiali sport łapania ptaków barwnych i wybierania im jaj. Prześliczne ptaszęta widziałem w rękach małych okrutników, zaopatrzonych już w spory zapas wspaniałych piór i skrzydeł.

Rzeka Iguasu płynie tam w bardzo głębokim parowie, którego szczyty z obu stron są równej wysokości. O jakie 100 metrów od niego, rozwija się widok rozległy, płaski z niewielkiemi wzgórzami. Nigdybyś się nie domyślił, że tuż w pobliżu u stóp twoich płynie rzeka spławna i że patrzysz na przeciwny jej brzeg.

Pan Pimpaõ (wym. Pimpą) Amazonas jest tam urzędnikiem i właścicielem sklepu na swoich ziemiach. Przeciwnik obecnego rządu, gorący federalista czyli zwolennik nieudanego powstania, jest przyjacielem Polaków. Gdyby nie federalistyczne jego przekonania, piastowałby najwyższe dostojeństwa w Paranie. On i wogóle rodzina Amazonów mają wielkie znaczenie i poważanie w tym kraju i od niej to przezwany został port nad Iguasem, gdzie się znajdowałem. Już przedtem o 5 kilometrów wyżej t. j. od Porto dos Larangeiras (pomarańcz) Iguasu zaczyna być rzeką spławną.

Rodzina p. Amazonasa mieszka patryarchalnie w wygodach bardzo pierwotnych. Domek ich zbudowany jest z drzewa i trzciny. Można w nich zziębnąć, lepiej nawet niż we Włoszech lub Francyi zimową porę w pokojach. Wieczorem siadywaliśmy wiankiem wszyscy w pokoju prawie zupełnie ciemnym, o posadzce z ziemi ubitej, wyciągając ręce zimne, jak lód, do dymiących i tlejących się w pośrodku nas węgli drzewnych. Powietrze w takich apartamentach było idealnie świeże i bez zaduchu.

Spałem na czemś w rodzaju kanapy; nad ranem ledwiem zdołał odpędzić kurę, która uparła się usadowić w głowach mego

legowiska. Gdy ją usuwałem łagodnie w nogi fantastycznego łoża swego, biegła mi od stóp do głów drobnym kłusikiem po kołdrze, a gdy ją zrzuciłem niedelikatnie na ziemię, wfruwała mi z ziemi na głowę pokwokując „kwok, kwok“, jakby jaja niosła. Rozespany i rozzłoszczony, palnąłem ją brutalnie dłonią z całej siły tak, że poleciała jak piłka na kraniec pokoju, poczem dopiero zyskałem spokój. Układając się do snu rannego, znalazłem gorące jajo w pobliżu swej głowy.

Rano mała córeczka Amazonasówna przynosiła mi gorącą herwę matę, raz, drugi, trzeci, potem otrzymywałem kawę czarną z cukrem i sucharem. Rozbudziwszy się zupełnie, chciałem otworzyć okna nie tyle dla świeżego powietrza, w które sypialnia była dostatecznie zaopatrzona za pomocą szpar w ścianach, ile raczej dla wpuszczenia światła do ciemnicy. Bojąc się stłuc szkło, dobierałem się do okna delikatnie i otworzyć go nie zdołałem. Dopiero otworzywszy drzwi, spostrzegłem, że szyby okna składają się z okiennic, które wystarczy silnie popchnąć; z tem się jednak wstrzymałem z obawy przewrócenia całej chałupy.

Śniadanie czyli pierwszy obiad i właściwy obiad drugi popołudniowy składały się u państwa Amazonas wciąż z fasoli czarnej, mąki mandjokowej, ryżu i suszonego a rozgotowanego w czarnym sosie mięsa wołowego, zwanego Charca (wym. szarka). Oprócz kawy i herwy mate pito herbatę z kwiatu i liści pomarańczowych.

Ta biblijna prostota mieszkania i pożywienia uderzała mnie tem bardziej, że całą tę rodzinę możnaby było przenieść do salonów europejskich bez tremy za jej znalezienie się. Prostota — nie prostactwo — okazywała się nie tyle w ułożeniu, ile czasem w pewnej naiwności. Np. pani domu przy wszystkich mówi mi: Sinior é bonito. Gdy zrobiłem minę, że nie rozumiem, powtórzyła mi te słowa, pociągając ręką po swej twarzy, a córki dawały znaki potwierdzenia. Myślałem zrazu, że powiedziano, iż wyglądam na dobrodusznego, dobrego (po francusku: débonnaire, bon), naiwnego, nie bardzo bystrego. Niemałom się zdziwił, wyczytawszy w słowniku portugalsko-niemieckim, że bonito znaczy „schön“.

Cokolwiek rozumiano u państwa Amazonasów po polsku i skarżono się na brak gramatyki polskiej i podręcznika dla nauczania się tak niezbędnego już w Paranie języka.

17. października. — Podróż z Porto Amazonas do Rio dos Patos nad Iguasem.

Po paru dniach wyczekiwania około 9-tej rano usłyszeliśmy gwizd nadchodzącego parowca. Zacząłem się szybko pakować i żegnać z gospodarzami. Ci zaś mnie wyśmiali i powtarzali: „paciença“ (cierpliwości). Zjemy razem jeszcze śniadanie i odprowadzimy pana na statek, który nie wyjeżdża przed 11-stą. Czas w Brazylii nie jest pieniądzem. Wyjechałem dopiero po 12-stej.

Urządzenie parowczyka było nieco prymitywne. Brak zupełny bufetu kapitan Włoch przez grzeczność zastępował kawą czarną; to jednak nas pasażerów kilku nie nasyciło. Cały dzień aż do wieczora cierpieliśmy głód, który nam zaćmiewał oczy; mimo to humor nas nie opuszczał. Przypatrywaliśmy się wciąż z musu brzegom rzeki; nie było na co innego patrzeć.

Rzeka Iguasu płynie otoczona dość wysokimi brzegami; wygląda jakby kiedyś była daleko szersza i wyżłobiła sobie wąwóz głęboki. Kręci się mocno z początku po wyjeździe z Porto Amazonas wciąż oprawiona z obu stron w gąszcz leśny, t. j. w krzaki i lasek. Nieco zaś dalej od brzegu podnosi się teren w desenie pagórków porosłych lasem sosnowym araukaryjnym lub trawą stepową.

Przy zakręcaniu to na prawo, to na lewo, parostatek pędzi, jakby do gąszczu bez wyjścia i nagle pokazuje się, że wyjście jest nawet przestronne. Wzgórza w tym ruchu przesłaniają się jedne drugiemi, dawno znikłe pojawiają ci się z innej strony i nigdy nie wiesz, po jakiej stronie je miniesz. Część krzaków nadbrzeżnych była zanurzona w wodzie skutkiem wylewów wiosennych, a w niektórych miejscach widać było domy ós, zbudowane na gałęziach lub wiszące na powojach (lianach). Trafiłem z rewolweru do takiego gmachu. Powiedziano mi, że sport ten mógłby być niebezpieczny, gdyby nie szybkie z wodą posuwanie się statku. Albowiem zorganizowana armia obrażonych owadów mogłaby z koszarów tych wyfrunąć i śmiałka, jak szerszenie, na śmierć zakłuć jadowitemi żądłami.

Wreszcie pod wieczór przybyliśmy do miejscowości Rio dos Patos, „rzeki kaczek“. Jest to średniej wielkości osada, w środku której, jak zawsze, znajdują się kwadry miejskie (quadro urbano), t. j. część pewna jej terytoryum, wyłączona od zwykłego osadnictwa, podzielona na bardzo drobne działki, które się sprzedają

kupcom i spekulantom na sklepy i domy. Słowem quadro urbano jest to zarodek miasta, który w tym wypadku znajdował się nad rzeką i miał mały port, gdzie właśnie wylądowaliśmy.

Przy brzegu na nasze przybycie oczekiwało kilka osób, między innymi zamożny kupiec, właściciel parostatku, którym płynęliśmy, p. Artur Paulo. Miałem do niego list polecający od naczelnika kolonizacyjnego. Jakkolwiek przyjął mnie bardzo grzecznie, zauważyłem jednak u niego pewien chłód i sztywność w obejściu, jakie często się napotyka u ludzi wysoko położonych lub uważających się za wielkich. W tym wypadku była to niechęć do Polaków, jako zawołanych federalistów, od których w powstaniu coś ucierpiał.

Pomimo gościnnego przyjęcia nudziłem się z powodu, że w całym domu, nie wyłączając gospodarza, nikt innym językiem nie mówił jak portugalskim. Poznawszy później lepiej domowników, przekonałem się, że pomiędzy służbą byli i osoby polskiej narodowości. Utkwiła mi szczególnie w pamięci bardzo wysoka i przystojna służąca z Poznańskiego o dumnem i dystyngowanem ułożeniu, niby księżna i o poprawnej mowie polskiej. Żona gospodarza pochodzenia niemieckiego odzywała się tylko po portugalsku; za to z jej ojcem, starym Niemcem, niewyczerpanym w opowieściach o stosunkach parańskich — rozmawiałem po niejakim czasie w mowie Germanów.

W Rio dos Patos zarysowuje się już dość wyraźnie miasteczko. Skupiają się „wendy“ czyli sklepy, budynki rządowe, kilka hotelików, poczta, kościół bez księdza, domy zamożniejszych Brazylianów. Ten zarybek miejski nadaje już pewne znaczenie osadzie całej.

Wieczorem i w nocy miałem sposobność się przekonać, że Mickiewicz stanowczo się mylił na korzyść żab litewskich, twierdząc stronniczo, że żadne nie odzywają się tak uroczo jak one. Niezawodnie piękniej na Litwie skrzeczą, niż gdzie indziej w Europie, ale nie są w stanie dać takiego koncertu, jaki słyszałem w Rio dos Patos.

Z początku myślałem, że jakaś niezwyczajna parowa maszyna pracuje w oddali, słysząc metalowe i miarowe dźwięki, jakie dolatywały mnie z nad brzegu Iguasu. Mięszały się one z płaczem i jękiem dziecięcym oraz z wyraźnem nawoływaniem ludzkiem: au, au, eu, eu: jednocześnie rozróżniałem jakieś chichotania niewieście czy dyabelskie, pękanie z bata, gry na gitarach, fletach, harmoniach, organach, fortepianach, skrzypcach. Cała ta grająca

orkiestra kazała marzyć o jakichś istotach fantastycznych, o całym tłumie duchów zbiegłych nad rzekę. Bujna wyobraźnia poety ubrałaby każdy dźwięk w jakiegoś muzykanta, śpiewaka lub mówcę zagrobowego. Przysłuchiwałem się długo tej tajemniczej muzyce wśród ciemności, które później dopiero rozeszły się, gdy księżyc rozlał elektryczke swe światło jasno niebieskie na dolinę rzeki. Brzegi jej porosłe są wysokimi araukaryami, które wyglądały z dala jak krzyże na cmentarzach litewskich.

18. 19. 20. października. — Rio dos Patos.

Nazajutrz o 6-tej obudziły mnie jasne promienie słoneczne. Jak wiadomo, słońce w Brazylii wstaje nagle i grzeje od samego rana. Wiedząc, że mój gospodarz jest rządowcem i nie sprzyja żywiołowi polskiemu, rozlewającemu się po całym stanie parańskim, postanowiłem usunąć się od możliwej opieki i kontroli ze strony nieprzyjaznego tubylca. W tym celu cichaczem, jak spiskowiec, niepostrzeżony udałem się na kolonię po za miasteczko; do południa wywiedziałem się o wszystkiem tem, com chciał wiedzieć.

Włóczyłem się od jednego kolonisty do drugiego. Przyjmowano mnie, jak dawnego przyjaciela. Częstowano tem, co miano pod ręką: jajami, wódką, herwą mate, chlebem z kukurydzy, kawą. Koloniści gorąco pragnęli sprowadzić na własny koszt księdza i co najmniej jednego nauczyciela w porozumieniu z sąsiednią (o 2 mile) kolonią Cantagallo, mającą 22 rodzin polskich obok paru brazylijskich. O 4 mile zaś rozsiadła się osada mieszana Santa Barbara, licząca ze 300 rodzin, u których większą część jest polska i rusińska, z małą domieszką Włochów, niedobitków słynnej kolonii komunistycznej Rossiego. Każda rodzina w tych trzech koloniach może z łatwością łożyć na księdza i nauczyciela około 20 milrejsów rocznie gotówką, a oprócz tego drugie tyle, jak mnie zapewniali, dawać im w płodach ziemi. Odliczywszy niechętnych i ubogich oraz cudzoziemców, można zawsze rachować na to, że płacących i dokładających będzie rodzin w Rio dos Patos 100, a w Santa Barbara drugie 100, co pomnożywszy przez 20 czyni 4.000 milrejsów. Jest to suma, za którą można utrzymać 2 nauczycieli i księdza. Z powodu odległości 4-ech mil konieczny jest nauczyciel jeden w Santa Barbara, a drugi w Rio dos Patos, (dla Rio dos Patos i Cantagallo). Proboszcz jeden wystarczyłby na te trzy kolonie.

Tak to rozumowali koloniści, których odwiedziłem.

Z p. Arturem Paulo rozmawiałem był poprzedniego dnia wieczorem o tem samem. Twierdził, że „naô preciza“ tj. nie potrzeba księdza w Santa Barbara, bo tam dojeżdża z miasta Palmeiry ksiądz włoski Tedesco, któremu swoją drogą wiele miał do zarzucenia. Ale jego zdaniem same Rio dos Patos i Cantagallo, opodatkowawszy się w sto rodzin, mogłyby łatwo utrzymać księdza i nauczyciela.

Dowiedziałem się wiele szczegółów z życia miejscowego. Mało było skarg na urzędników Brazylianów; opowiadano mi tylko o częstych bójkach z „Kaboklami“. Dowodzono mi z junacką fantazyą, (która mi się podobała), że prosty kij polski jest lepszą bronią od długich nożów brazylijskich (facaô — wym. faką). Brazylianie leśni czują się wypierani przez Polaków, chociaż ci osiadają na gruntach, których pierwsi nigdyby nie spożytkowali dla rolnictwa. Osadnictwo polskie stoi zaprawdę na zawadzie gnuśnemu ich życiu w lasach dziewiczych; ztąd zwady.

Po powrocie do domu przekonałem się, że moja przebiegłość była zupełnie niepotrzebną, gdyż sam przywołał inteligentniejszych kolonistów i pożyczył mi koni, abym ich używał dowoli, zwiedzając całą kolonię wzdłuż i wszerz. To też parę dni spędziłem na ciągłem rozjeżdżaniu się i odwiedzaniu kolonistów przeważnie w towarzystwie Stanisława Daleckiego, Podlasiaka.

Ze sto rodzin polskich w Rio dos Patos i 20-ścia w Cantagallo pochodzą z Królestwa Polskiego i Poznańskiego. Jeden z wybitniejszych kolonistów jest Morawianin, ożeniony z „polską dziewuchą“. O ile mogłem wymiarkować, nie rolnicy osiedli tu w takiej liczbie, lecz proletaryusze miejscy i wiejscy t. j. drobni rękodzielnicy, robotnicy fabryczni i parobcy. Znalazłem tam byłych krawców i szewców.

Po siedmiu latach pobytu w Rio dos Patos każda rodzina na przestrzeni 25 hektarów, (250 dziesięcin, 60 morgów nowopolskich, 40 austryackich) ma istnienie swoje zabezpieczone, t. j. obfituje w jedzenia. Ale do zamożności, w znaczeniu dorobienia się pieniędzy, doszła tylko mniejszość. Aby wszyscy się zbogacili, trzeba żeby mieli większe potrzeby i oświatę, a doczekali się lepszych warunków komunikacyjnych, czyli możności doprowadzania płodów surowych kolonii tanio do miast takich, jak Kurytyba i Ponta Grossa. Sądzę jednak, że już teraz nawet najmniej zamożni mogliby się przyczyniać do utrzymania dwóch nauczycieli. Zaczynają to już rozumieć. Na utrzymanie księdza polskiego ofiar-

ność ich obecna wystarczała. Jakoż na moje ręce później posłano do księdza biskupa w Kurytybie spis ofiarodawców, zobowiązujących się do płacenia rocznych składek na księdza; w spisie tym znajdowali się niemal wszyscy osadnicy, prócz kilku najuboższych, których nie pociągnięto do tego podatku.

Ziemię obszaru kolonialnego w kolonii Rio dos Patos znalazłem lepszą w części północnej ku miastom Tryumfo i Palmeira, gorszą w południowej w pobliżu rzeki Iguasu. W pierwszej napotyka się często bardzo grube i wysokie sosny araukarye, nad Iguasem zaś płaszczyzna porosła jest dość gęstym borem cienkich i małych drzew, przerzedzonym łąkami i pastwiskami.

Przetrzebiono już sporo lasu, może do połowy na każdym działku, pozostawiając większe okazy araukaryi, jakby nasienniki, samotne. Przy drogach wszędzie widziałem ogrodzenia i same działki, między sobą okolone płotem. Co ćwierć kilometra mniej więcej spotykałem chałupę drewnianą z drobnemi zabudowaniami, niby obórkami, chlewkami, kurnikami, piecykami do wypalania chleba itd.

21., 22., 23. października. — Wyjazd powrotny z Rio dos Patos.

Po kilkudniowych przejażdżkach i przyjęciach u bardzo gościnnych kolonistów doczekałem się niespodzianki. Przybył parowiec „Iguasu" z Mateusza t. j. z miejsca, dokąd miałem się udać; wiózł on pp. Onufrego Flizikowskiego i Antoniego Bodziaka, najwybitniejszych obywateli tamtejszej osady. Przyjazd ich wpłynął na zmianę mego projektu. Zamiast do Mateusza, postanowiłem z nimi powrócić do Kurytyby. Wyruszyliśmy około 10-tej rano pod wodę rzeki wezbranej. Płynęliśmy wolno, bo dopiero nazajutrz po zachodzie słońca dojechaliśmy do Porto Amazonas.

Towarzystwo na statku było różnojęzyczne. Składało się z Polaków, Francuzów i Niemców. Kapitan statku firmy niemieckiej „Burmeister i Thon", choć Niemiec, głosił się patryotą brazylijskim i, jako taki, otoczył mnie wszelkiemi wygodami, na jakie tylko mógł się zdobyć, dając mi z niezwykłą uprzejmością wszelkie objaśnienia. Jechaliśmy na workach herbaty „Mate", które zalegały cały parostatek do tego stopnia, że prawie wcale miejsca nie było dla ludzi. Cały dół statku aż powyżej pokładu wybrukowany był workami maty. W jednem tylko szczupłem miejscu około maszyny i pieców nie było tego towaru. Schodziło się

tam jak do studni, wycembrowanej herbatą. Wszędzie indziej, nawet na pokładzie, piętrzyły się worki wysoko i trzeba było wciąż leżeć lub czołgać się, bo baldachim, unoszący się nad całym statkiem, nie pozwalał stanąć. Aby się wyprostować, trzeba było wychylić się nad wodę po stopniach, okalających parowiec lub wstąpić na sam baldachim.

Do powolnego podróżowania przyczyniła się wielka „lansza“ t. j. łódka, naładowana także Herwą Mate, po której odbywaliśmy też spacer dla wyprostowania pokurczonej figury. Zapasów żywności mieliśmy bardzo mało; każdy rozdzielał swoje, jak w bratniej wspólności dóbr — kapitan częstował czarną kawą z cukrem.

Dojechaliśmy w nocy do Porto Amazonas. Kapitan usiłował mnie przekonać, że rząd brazylijski robi, co może, dla moich rodaków i że najzupełniej fałszywymi są opisy publicystów i literatów europejskich, jak n. p. Dygasińskiego. Chciał, żebym namacalnie dowiedział się o prawdzie i zaprowadził mnie do miejsca chwilowego pobytu naszych ludzi, wyprawianych do kolonii Rio Claro.

Właśnie przybyła świeża gromada przybyszów. Weszliśmy z latarkami do rodzaju wielkiej stodoły, znanej mi już z przed kilku dni. Pomieszczenie było wygodne i obszerne. Wychodźcy zachowali się względem mnie, jak względem jakiego apostoła lub cudotwórcy, całowali mnie po rękach i odzieniu, wypytując się i wyrażając swą radość w słowach takich: „A to istnie, jak Anioł, zjawił się Pan między nami“. Ogólny zapał i radość panowały przez czas mego krótkiego pobytu wśród nich.

Po serdecznem przemówieniu i pożegnaniu ich, spotkałem się z panem Amazonasem Pimpą, który zaprosił mnie do siebie, ugaszczając z całą serdecznością. Wtem przerwał ciszę nocną ostry świst parostatku. Wkrótce zeszliśmy w dół do rzeki, znaleźliśmy się na nim i ruszyliśmy w noc ciemną dalej.

Nazajutrz rano około 10-tej stanęliśmy w miejscowości Porto Larangeiras (port pomarańcz). Jest to punkt, od którego Iguasu zaczyna być spławnym; cokolwiek powyżej jest piękny wodospad tej rzeki, zwany Rio dos Patos.

Od Porto Amazonas do Portu Pomarańcz nie jest dalej w linii prostej, jak 5 kilometrów. Ale „rzeka wielka“ (w języku indyjskim znaczy: „I“ wielka, pełna „guasu“ woda), wykręca się wężem kilkumilowym, tworząc wielki półwysep z szyjką 5-kilometrową, w ten sposób, że wraca nieraz niemal na to samo miejsce,

n. p. w jednem mija się sama siebie w przeciwnych kierunkach o kilkadziesiąt kroków. Nasi robotnicy z własnej inicyatywy przekopali, jak mi zaręczano, tę przestrzeń i oszczędzili sobie przeszło milę drogi jazdy wodą z towarem.

Przestrzeń, okolona przez wijącą się rzekę, ma glebę czarną przednią. Nad wodą naokoło jest lasek, w pośrodku step trawą zarosły. Rząd rozmierzył ten grunt i sprzedaje go dość drogo; osiedliło się na nim tylko kilku Włochów.

Port Pomarańcz nosi tę nazwę z powodu, że owocu tego jest wielka obfitość w pobliskich gajach pomarańczowych. Pomarańcze są tam bez wartości. Za 1 milrejsa można ich nabyć mniej więcej 100. Od Niemca jakiegoś kupiłem 20 za pół milrejsa: chwalił się potem, że mnie okpił straszliwie.

Ważność miejsca Porto Larangeiras leży w tem, że do niego, jako do początku żeglugi na rzece Iguasu, dochodzi gałąź kolejowa od stacyi Restinga Secca.

Spóźniliśmy się na pociąg, a następny dopiero za dwa dni miał odjechać. Towarzystwo nasze było liczne. Postanowiliśmy tedy pojechać pociągiem nadzwyczajnym, na który czekaliśmy do 1-szej.

Mieliśmy wszyscy czas się zapoznać między sobą. Były zbliżenia a nawet flirty. Młode Polki i Niemki wywarły silny urok na młodzieńca brazylijskiego, który zaczął przebierać się. Kilka dni takiej podróży, jaką przebyliśmy, połamało nam kości i zobojętniło na zewnętrzny wygląd. Młodzieniec wszakże przemieniał się w eleganta na peronie wśród spacerującej publiczności w sposób, wywołujący u płci pięknej śmiech i przerażenie. Zwracając się do niej twarzą, układał usta w uśmiech słodki, oczy mu się żarzyły, a równocześnie zmieniał koszulę i dolne ubrania. Przez chwilę był bez krawata; przyznać mu jednak muszę, że się bardzo spieszył.

W jak najweselszem usposobieniu przybyliśmy pod wieczór do Kurytyby.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Je demandai qu'on me conduisit au couvent, sous le prétexte d'un déjeûner auquel je ne pouvais pas manquer. Du couvent, avec mon ami ma femme de chambre et ce monsieur, que vous avez vû, je me rendis au Colisée. Mes conducteurs croyaient ne servir qu'une plaisantirte de bal, et je sus rire avec eux jusqu'au moment, où votre présence vint m'ôter ma gaïeté, en m'enivrant d'un charme inexprimable. Souffrés que je me repose des moments si doux. — Bientôt je les perdrai, pour en fixer

---

Prosiłam, aby mię zawieziono do klasztoru, pod pozorem, że chcę tam zjeść śniadanie, którego sobie odmówić nie chciałam. Z klasztoru udałam się z moim przyjacielem, moją pokojową i tym panem, którego widziałeś, do Colizeum. Przewodnicy sądzili, że dogadzają tylko mojej zachciance i ja umiałam śmiać się wraz z nimi aż do chwili, w której twoja obecność odjęła mi wesołość, upajając mię niewypowiedzianym czarem. Pozwól, żebym się zatrzymała nad chwilami tak słodkiemi. — Wkrótce je stracę, aby

d'affreux. Quelle jouissance c'était pour mon coeur de vous voir, de vous occuper, d'avoir reçu de vous une marque d'intérêt. Une seule crainte la troublait... Vous pouviez me prendre pour une autre à quelque rapport de ressemblance et n'adresser tout ce qui me flattait qu'à la personne que vous espériez trouver sous mon masque. Je voulus m'en assurer et je vous envoyai le billet... de sa candeur. Si vos regards s'etaient fixés sur une autre, tout était dit. Je pouvais encore me vaincre; votre attention à m'examiner me prouva que Vous me reconnaissiez. Que cet instant fut encore delicieux! Je vous regardai à mon tour, et je crus lire dans vos yeux une partie du sentiment que mon coeur renfermait. Helas! Ce delicieux instant fus le dernier. Notre première entrevue fut l'epoque de mes tourments. Mon ame vous fut comme. Sûr de vos droits, de votre pouvoir, vous commençates des-lors à m'effrayer par des transports nouveaux pour moi. Ce que vous obtintes de ma surprise autant que de mon amour, me parut une faute ineffacable, et dèsque je vous eus quittée, il me semble que vous ne deviez plus m'aimer m'estimer. — Le reste vous est connu. Mes lettres si vous les avez encore, peuvent vous

---

stanać przy strasznych. Jaka to była radość dla mego serca, gdy widziałam Cię, gdy potrafiłam cię rozweselić, otrzymując nawzajem pewność, że się inną zajmujesz. Jedna obawa mieszała tę radość... mogłeś mię wziąć łatwo za inną wskutek pewnego podobieństwa i mogłeś sądzić, że mówiłeś to, co mi pochlebiało, tej osobie, która miałeś nadzieję znaleść pod moją maską. Chciałam się o tem przekonać i posłałam ci bilecik... z jej imieniem. Jeżeliby twoje wejrzenia przyzwyczaiły się do tej drugiej, wszystkoby się to pokazało. Mogłam jeszcze przezwyciężyć siebie; uwaga jednak, z jaką przypatrywałeś mi się, dowiodła, że mię poznajesz. Jak ta chwila była dla mnie rozkoszną! Z kolei ja się teraz tobie przypatrywałam i zdawałam się czytać w Twoich oczach część uczucia, które moje serce zawierało. Niestety! Ta rozkoszna chwila była ostatnią. Nasze pierwsze widzenie się z tobą stało się początkiem moich męczarni. Moja dusza była ci znaną. Pewien swoich praw, swojej władzy, zacząłeś natychmiast przerażać mię nowemi dla mnie uniesieniami. To, co otrzymałeś dzięki mojej dobroci i miłości, wydało mi się błędem nie do darowania i z chwilą, gdy cię opuściłam, zdaje mi się, że nie musiałeś mnie już kochać, ani też szanować. Reszta jest Ci znana. Moje listy, jeżeli je masz jeszcze, mogą Ci

retracer mes craintes et mes remords. Vous me rassuriez: „Ma chere, mon adorée Alexandrine“ me disiez vous. „Les inquietudes, que tu as sur mes sentiments pour toi, sont injustes. J'ai souffert cruellement 'hier de n'avoir pas de tes nouvelles“. Et dans une autre: „Je ne peux avoir d'autre tort, avec vous, que de vous aimer plus, que vous ne m'etes attachée, et par conséquent vous faire sentir votre infériorité en ce genre. Qui vous porte à croire, que je ne vous aime pas? que je n'ai pas senti, avec transport les moments heureux dont le souvenir est à jamais gravé dans mon coeur?... Je vous assure que je vous aime, vous estime, vous adore“. Et lorsque j'implorai votre secours, pour me sauver — de moi — même; quand je fuyais l'amour — quand je vous demandais de l'amitié, Vous me repondiez: „Vous étes injuste, en voulant me préscrire la manière, dont je dois vous aimer: C'est tyranniser que de défendre les sentiments, qu'on inspire. Je me flattais d'avoir aujourd'hui le bonheur de vous voir, mais pour tout bien, je reçois un billet froid et sec, où je ne reconnais pas votre coeur“. (C'était pour déchirer le coeur, que vous redontiez tant, qu'il put vous echapper). „Ce n'est point de

---

odtworzyć moje obawy i moje wyrzuty. Ty mię uspokojałeś: „moja droga, moja ubóstwiana Aleksandro, mówiłeś mi.“ „Obawy, jakie żywisz co do moich uczuć względem Ciebie są niesprawiedliwe. Cierpiałem okrutnie wczoraj, nie mając wiadomości o Tobie.“ A w drugim liście: „Mogę Ci jedno zarzucić, a mianowicie to tylko, że kocham Cię więcej, aniżeli Ty mi jesteś oddaną, a co za tem idzie, mogę dać Ci odczuć, że stoisz pod tym względem niżej odemnie. — Co każe Ci przypuszczać, że już Cię więcej nie kocham? — że nie byłem wstanie odczuć z zapałem tych chwil wszystkich, które pamięć na zawsze w moim sercu wyryła? — Zapewniam Cię, że Cię kocham, czczę i ubóstwiam.“ A skoro błagałam Twojej pomocy, byś mnie wybawił od walki wewnętrznej, gdy uciekałam przed miłością, gdy prosiłam Cię tylko o przyjaźń — Tyś mi odpowiedział: „Postępujesz niewłaściwie, chcąc mi narzucić sposób, w jaki powinienem Ciebie kochać. Jest to raczej tyranizowanie, aniżeli bronienie uczucia, jakie się żywi. — Nie posiadałem się z radości, mając ujrzeć Ciebie dzisiaj, jednak jakby na śmiech otrzymuję bilecik zimny i suchy, w którym ani śladu Twego serca dopatrzeć się nie mogę.“ (Pisałeś to wszystko, by rozedrzeć serce, o które tak się lękałeś, by się od Ciebie nie

votre honnêteté, que j'ai lieu de donter, — mais de votre coeur; et cette manière de voir, mortifie mon amour propre, sans me guérir de mon amour". Helas! Vous saviez trop, que paraitre douter des sentiments d'une amante trop tendre, c'etait l'amour à ne plus en refuser toutes les preuves. Je fus facile et credule, et quelque fussent dès-lors mes remords, ces mots me consolaient: „Je rends graces au sort de m'avoir fait rencontrer un coeur tel, que le vôtre, un coeur, dont la sensibilité enflammerait une ame de marbre et la forcerait à l'adorer". J'ai toutes ces lettres; je les conserve, ces gages imposteurs d'un sentiment, que vous n'avez jamais senti pour moi. J'étais horriblement trompée, abusée, mais il m'aurait fallu plus d'expérience, il m'aurait fallu connaître les détours de la perfidie, pour demêler celle que cachait si bien votre coeur. Ah! Un avenglement prouve la candeur du mien.

Tout en vous paraissait justifier mon amour: Je me livrais, sans reserve à toutes les séductions, qui suivaient votre présence. Mais vous cessâtes bien-tôt de vous contraindre. Vos delirs satis faits... une froideur accablante se peignit sur votre visage. Vos

---

odwróciło.) „O Twojej uczciwości nie mam wcale prawa wątpić — ale o Twojem sercu — a taki sposób ujęcia kwestyi godzi w moją miłość własną, nie lecząc mnie wcale z mojej miłości". Niestety! Wiedziałeś nadto dobrze, że pozwalając sobie wątpić w uczucia kochanki tak czułej, zaprzeczasz zarazem tylu dowodom jej miłości. Byłam zbyt przystępną i łatwowierną, a w wyrzutach, które sobie z tego powodu niejednokrotnie czyniłam, pocieszały mię tylko te słowa: „Składam dzięki losowi, że pozwolił spotkać mi takie serce, jak Twoje, serce, którego czułość zapaliłaby duszę z marmuru i zmusiłaby, by je ubóstwiać." Mam wszystkie listy; zachowuję je jako nieomylne dowody uczucia, któregoś dla mnie nigdy nie żywił. Zostałam strasznie oszukaną i w błąd wprowadzoną, jednak musiałabym mieć więcej doświadczenia i musiałabym znać pierwej wszystkie wybiegi wiarołomstwa, by módz rozpoznać, że je ukrywasz tak dobrze w swoim sercu. Ach! Zaślepienie to świadczy tylko o mojej szczerości.

Wszystko w Tobie zdawało się usprawiedliwiać moją miłość: Ja też oddawałam się bez zastrzeżeń wszystkim ponętom, które wywoływała Twoja obecność. Ale Ty przestałeś wkrótce przymuszać się. Gdy zadowoliłeś swój szał... na twarzy Twojej malował

lettres en porterent l'empreinte, autant que vos paroles. Ce changement ne put m'échapper, mais je m'en accusai. Je crus, que me connaissant d'avantage, vous m'aviez trouvé moins aimable que je ne Vous l'avais paru d'abord. Mais je l'adore me disais-je... n'est ce — donc rien pour une ame sensible? Déjà je prévoyais qu'un objet plus digne de vous plair allait entièrement m'effacer de votre coeur. J'en souffris et je me taisais. Ah! combien je vous aurais pardoné si vous n'eussiez été qu'inconstant! J'attribuais encore aux chagrins, d'ont vous m'aviez parlé, ce besoin continuel de distractions, qui vous éloignaient de moi. J'osais à peine m'en plaindre. Il me semblait peu delicat de vous reprocher des plaisirs, qui chassaient le souvenir de vos peines... encore moins d'en demander le sacrifice. Souvent, quand vous m'aviez quitté, que je vous suivis tristement, prête à tendre mes-bras, pour vous retenir et je me suis contrainte, tremblant de vous déplaire. Je n'en désirais, que plus vivement de vous revoir. J'espérais toujours vous retrouver plus tendre, plus occupé de moi. Ingenieuse à me tromper moi-même, j'adoptais, sans reflections touts ces prétextes, que vous saviez me donner. Quand je

---

się przygniatający chłód. Listy Twoje miały ten sam wyraz obojetności, co i słowa. Ta zmiana nie mogła ujść moim oczom: ale sama obwiniałam się o nią. Sądziłam, że poznawszy mię lepiej, doszedłeś do wniosku, że jestem mniej godną miłości, niż Ci się wydawałam na początku. Ale ja go ubóstwiam, mówiłam do siebie.. Czy to jest niczem dla czułej duszy? Przewidywałam już, że przedmiot jakiś bardziej godny podobania się tobie, zdołał mię całkiem zatrzeć w Twojem sercu. Cierpiałam z tego powodu i milczałam. Ach! jak chętniebym Ci przebaczyła, gdybyś był tylko niestałym! — Przypuszczałam, że zmartwienia, o których mi mówiłeś i ta ciągła żądza rozrywek oddalały mię od Ciebie. Zaledwie śmiałam się skarżyć na to. Zdawało mi się niedelikatnem wymawiać Ci przyjemności, które odpędzały pamięć trosk Twoich... a tem bardziej żądać, byś się ich wyrzekł dla mnie. Często, gdyś mię opuścił, szłam za Tobą smutna, gotowa wyciągnąć ramiona, aby Cię zatrzymać — jednak powstrzymałam się, drżąc na myśl, że się mogę Tobie nie podobać: a pragnełam tylko lepiej przypatrzeć się Tobie. Miałam zawsze nadzieję, że będziesz czulszym i bardziej mną zajętym. — Pełna zmyślności w oszukiwaniu samej siebie uznawałam bez rozwagi wszystkie przyczyny, które umiałeś

vous croyais triste ou malade, vous n'etiez qu'ennuyé, excédé, embarassé. La sécheresse de votre coeur dictait celle de vos discours; et je m'obstinais à fuir la lumiere qui venait s'offrir. Je croyais vous consoler, vous attacher davantage en ne resistant à aucun de vos desirs. Je croyais céder à l'amour; j'étais l'objet du mépris le plus marqué. Mon coeur, qui me reprochait toujours cette indigne faiblesse m'avertissait de l'horrible supplice qui devait l'expier. Je lui resistais: il me fallait un coup affreux pour me tirer de ma sécurité... Je l'ai reçu hier. Croyez que je ne cherchais point cette fatale découverte: le hazard seul m'a servi. Je continuais une lettre commencée depuis le jour de notre séparation, à laquelle j'avais tous les jours ajouté quelques ligues. On vint m'interrompre, m'entrainer au milieu d'un cercle; et le premier mot, qui fixa mon attention, fut l'arrêt — de mon désespoir. Frapée d'une terreur horrible, j'essayai d'en douter. Je craignis d'en vous condamner trop promptement; mais ne pouvant soutenir l'incertitude je rassemblai mes forces, je risquai quelques questions; on n'y repondit que trop amplement. Ce

---

mi podawać jako prawdziwe. Gdy uważałam Cię za smutnego lub chorego, byłeś tylko znudzonym, zużytym, zakłopotanym. Oziębłość Twego serca dyktowała oziębłość rozmowie; a ja uparcie zamykałam oczy na światło, które mi to okazywało. Myślałam, że Cię pocieszę, że Cię przywiążę więcej, nie opierając się żadnemu z Twoich życzeń. Sądziłam, że robię ustępstwo miłości, a w istocie byłam tylko przedmiotem najwyraźniejszej wzgardy. Moje serce, które mi wymawiało zawsze tę niegodną słabość, ostrzegało mię przed straszliwą męczarnią, jaką musiałam za nią odpokutować. Opierałam się mu: i potrzeba było strasznego ciosu, aby mię wyrwać z mojej pewności... Otrzymałam go wczoraj. A bądź pewnym, że nie szukałam wcale tego fatalnego odkrycia — wypadek tylko posłużył mi. Pisałam dalej list, rozpoczęty w dniu naszego rozłączenia, do którego codziennie dorzucałam kilka wierszy. Jednak przerwano mi, zapraszając mię do towarzystwa; i pierwszy wyraz, który zwrócił moją uwagę, był wyrokiem ku mojej rozpaczy. Ugodzona strasznym gromem, próbowałam wątpić o tem. Bałam się potępić Cię nadto szybko; ale nie mogąc wytrzymać w niepewności, zebrałam wszystkie moje siły i odważyłam się na kilka zapytań: odpowiedziano mi na nie aż nadto obszernie. To nie jest

n'est point un goût passager, une de ces fantaisies, dont mille n'auraient pû m'inspirer l'ombre de la jalousie, c'est une passion violente, partagée, qui vous tient tous les deux. C'est pourelle que vousarez fait faire votre portrait — pour elle que vous êtes parti un jour plus tard que Vous ne me l'aviez dit. C'est elle, dont la jalousie vous contraignait de vous masquer au bal, qui vous retint cher elle, cette nuit, que je passai à vous attendre dans l'inquietude, dans la douleur. Depuis que je vous connais, elle n'a peut-être pas reçue de vous une preuve d'amour qui n'ait été le sujet d'une peine pour moi. Quand vous me quittiez avec tant de plaisir et de precipitation, vous alliez la trouver. Quand près de moi — rêveur, contraint, mes timides caresses vous arrachaient à peine un regard — c'était elle, qui fixait toutes vos pensées. Vous alliez la chercher aux déjeûners du Vice-compte; c'est encore elle, que je rencontrai dans votre voiture. Je vous questionnai sur cette rencontre... Avec quelle adresse vous sçutet me tromper! — Il n'en fallait pas tant. Il est facile d'abuser une ame confiante, incapable de ruse, incapable de la soupçonner dans les autres. Cette femme, qui causa tant de peine à la pauvre Cierce L...' Aurais-je pû prévoir, qu'elle causerait aussi les mien-

---

przelotne upodobanie, jedna z tych fantazyi, których tysiąc nie mogłoby natchnąć mnie cieniem zazdrości; jest to namiętność gwałtowna, obustronna, która łączy was oboje. To dla niej kazałeś zrobić swój portret, dla niej wyjechałeś jeden dzień później, o czem zupełnie mi nie wspominałeś. To jest ta, której zazdrość zmusiła Cię maskować się na balu, ona zatrzymała Cię u siebie tej nocy, którą ja przepędziłam, oczekując Cię w niepokoju i boleści. Od kiedy Cię znam, ona nie otrzymała może od Ciebie jednego dowodu miłości, któryby nie był przedmiotem przykrości dla mnie. Kiedy mnie zostawiałeś z taką przyjemnością i pospiechem, szedłeś jej szukać. Gdy byłeś przy mnie zamyślony, wymuszony, gdy moje skromne pieszczoty zaledwie wejrzenie zwrócić były zdolne, ona to zatrzymywała wszystkie twoje myśli. Szedłeś, aby ją odnaleźć na śniadaniach wicehrabiego; ją także spotykałam w Twoim powozie. Gdy żądałam, byś się z tego wytłumaczył... z jaką zręcznością umiałeś mię oszukać! Nie potrzeba było tak wiele. Łatwo jest oszukać istotę ufającą, niezdolną do chytrości, niezdolną do podejrzywania jej u innych. Ta jest kobieta, która przyczyniła tyle trosk biednej Cierce L... Czy mogłam

nes? Mais ne croyez pas, que je l'accuse, qu'une basse jalousie m'anime contre elle. Elle aime. Est-ce à moi. de lui en faire un crime? Tant que vous lui devrez votre bonheur, loin de la haïr, je ne la verrais pas avec indifférence, et si le ciel m'avait donné des moyens de séductions, je rougirais de les employer pour lui arracher votre coeur. Ne craignez pas, que je vous parle d'avantage de mon amour! Non! jamais. Dussai-je en mourir. Mais plaignez-moi, vous le devez, je le merite. Qu'ai-je dit — malheureuse? Vous me plaindre, Vous, qui, calme et tranquille, m'avez precipité sans remords dans un abime de douleur — Vous, qui me méprisez, qui ne croirez peut-être pas à cette peinture si vraie de mon état affreux. Que viens je de faire? De quel droits allais je troubler votre repos? — Je ne vous suis rien. A quelle illusion me suis je encore abandonnée?... Detrompée! Désesperée de l'être! J'ai pu vous laisser lire encore dans ce coeur, si cruellement outragé? m'exposer de nouveau à voir ma sensibilité méprisée? dédaignée? Ah cruel! Que me reste-t-il à faire, pour vous montrer votre esclave, votre victime, entrainée, subjuguée

---

przewidzieć. że ona przyczyni się także do moich trosk? Ale nie sądź, abym ja ją obwiniała, lub żeby niska zazdrość pobudzała mnie przeciwko niej. Ona kocha. Czy do mnie należy liczyć jej to za zbrodnię? Póki jej będziesz zawdzięczać swoje szczęście, daleka od nienawiści nie będę mogła patrzeć na nią obojętnie i gdyby niebo było mi dało środki uwodzące, czerwieniłabym się, używając ich, by tylko wyrwać ją z Twego serca. Nie bój się, abym Ci mówiła dłużej o mojej miłości! Nie! nigdy. Choćbym miała umrzeć. Ale żałuj mnie, powinieneś to uczynić, ja na to zasługuję. Lecz cóż ja powiedziałam — nieszczęśliwa? Ty! litować się nademną, Ty, który zimny i spokojny rzuciłeś mnie bez wyrzutów w przepaść boleści. Ty, który mną pogardzasz, który nie uwierzysz być może w ten tak prawdziwy obraz mego okropnego stanu. Co czynię jednak? Jakiem prawem mam burzyć Twój spokój? Jestem przecież niczem dla Ciebie. Jakim mrzonkom poddaję się jeszcze?... Opamiętaj się! zrozpaczona, wszak się oszukałaś. Czy powinnam zezwolić, byś czytał jeszcze w tem sercu, tak okrutnie znieważonem? Narażać siebie znowu i swoją czułość na pogardę? Wzgardzona? Ach okrutnie! co mi jeszcze czynić wypada, aby Ci pokazać Twoją niewolnicę, Twoją ofiarę, porwaną, poddaną, upadającą pod ciężarem

sons les poids de sa chaîne?... Je dois la porter toute ma vie. Faites que je puisse encore la chérir. Ecoutez-moi! La grâce, que je vous demande, m'est due par tous les droits que l'être le plus infortuné peut aquérir sur une ame sensible... la vôtre l'est. Vous aimez Julie! Vous n'avez jamais été barbare — que pour moi. L'honneur, tous les sentimens réunis vous parleront en ma faveur. Enfoncez Vous — même dans mon coeur le trait affreux, qui doit me faire expirer. Que je meure de votre main!.... Je mourrai, en vous pardonnant. Cessez de m'abuser. Montrez-moi mon état, dans toute sa horreur. Accablez-moi sans nul égard. Au milieu de mes cris, de mes reproches je doute peut — être encore. Détruisez cette incertitude — si elle existe Plus de voile! Soyez cruel plutôt, que d'être faux!

Eclairée par vous, je vous aurai au moins une obligation et ma reconnaissance justifiera ces sentiments, que je ne puis éteindre. Je pourrais vous estimer encore. Faites moi cet aveu, je vous en conjure et je vous promets de vous sauver la honte d'en rougir devant moi — de mettre une barrière eternelle entre nous. N'ai-je pas un cloitre pour azyle?.... Helas! J'avais autrefois le

---

swego łańcucha?... Muszę go nosić całe życie. Zrób, abym mogła go jeszcze kochać. Słuchaj mię! Łaska, o którą Cię proszę, należy mi się ze wszystkich praw, jakie istota najnieszczęśliwsza może żądać od duszy czułej... A Twoja taką jest... Ty kochasz Julię! Gdy byłeś kiedykolwiek okrutny, to tylko dla mnie. Honor, wszystkie połączone uczucia przemówią za mną do Ciebie. Ugodź sam w moje serce tym ciosem straszliwym, który ma mię zabić. Niech umrę z Twojej ręki!... Umrę, przebaczając Ci. Przestań oszukiwać mnie. Przedstaw mi moje położenie w całej jego okropności. Gnęb mię bez żadnego względu. Wśród moich krzyków, moich wymówek, ja może jeszcze wątpię. Zniszcz tę niepewność, jeżeli ona istnieje. Bez żadnych zasłon! Bądź raczej okrutny, niż masz być fałszywym!

Oświecona, dzięki Tobie, będę się czuła przynajmniej tem wobec Ciebie zobowiązaną i moja wdzięczność usprawiedliwi te uczucia, które nie mogą zgasnąć. Mogłabym jeszcze szanować Ciebie. Uczyń mi to zeznanie, zaklinam Cię na wszystko; a ja Ci przyrzekam, że oszczędzę Ci tego wstydu, byś się musiał czerwienieć przedemną. Obiecuję Ci postawić między nami zaporę wieczną. Czy nie mam klasztoru, by się módz tam schronić? niestety,

soin de ma mère; et maintenant je ne puis la fixer — sans frémir et sans me détester.

Où fuirai-je?... Je n'attends rien des hommes... et le ciel... le ciel me recevra-t-il? Ah! Je l'implore pour vous seul... qu'il Vous pardonne et qu'il ne punisse que moi — de vos crimes, et des miens!

---

było to niegdyś życzeniem mojej matki; ale teraz nie mogę patrzeć na nią bez drżenia i bez nienawiści ku sobie.

Gdzie ja ucieknę?... Nie oczekuję niczego od ludzi... a niebo... niebo, czy mnie przyjmie? Ach! ja błagam je tylko za Ciebie... niech Ci przebaczy i niech karze mnie tylko za Twoje winy i za moje!

III. Voyage dans l'Amérique septentrionale du comte C. W. polonais.

Journal d'un voyage fait sur la riviere du Nord jusqu'à Saratoga et de là jusqu'au lac George et Champlain — retour à Boston par le Connecticut.

8. Oct.

Aprés avoir pris cougé de nos amis, nous quittâmes Philadelphie. J'ai laissé cette ville avec regret; l'hospitalité, la'prévenance, l'honnêteté avec laquelle j'y ai été reçu me l'ont fait aimer infiniment. Je n'ai trouvé nulle part cette franchisse cette loyanté, avec laquell ces principalles personnes agissent ici; ces vertus, reste précieux des anciennes moeurs des Quakers, distinguent mieux la Pensylvanie de ses voisins que les l'imites disputes. Il y a je crois des rapports secrets entre les gens qui adorent la liberté, leur coer et leur esprit s'expriment dans la même

---

III. Podróż do Ameryki północnej polskiego hrabiego K. W.

Dziennik podróży odbytej po Rzece północnej do Saratogi, a stamtąd do jeziora Jerzego i Champlain — powrót do Bostonu przez Connecticut.

8. października.

Pożegnawszy się z naszymi przyjaciółmi opuściliśmy Filadelfię. Porzuciłem to miasto z żalem; dzięki gościnności, uprzejmości i grzeczności, z jaką zostałem tam przyjęty, polubiłem je nieskończenie. W żadnej stronie nie znalazłem takiej swobody, takiej szczerości, z jaką najprzedniejsze osobistości tutaj postępują; te zalety, cenna pozostałość po dawnych obyczajach Kwakrów, wyróżniaja Pensylwanię od jej sąsiadów lepiej, aniżeli naśladowane dysputy. Istnieją — sądzę — jakieś stosunki tajemne między ludźmi, którzy miłują wolność; ich serce i umysł przemawiają je-

langue. Il m'est arrivé souvent d'avoir des conversations de plusiers heures sur des matiéres abstraites avec les premières personnes de l'état; à peine pouvais-je alors balbutier l'Anglais, mais un mot suffisait souvent pour transmettre une pensée et quand à mon retour chez moi je récapitulais la conversation, je m'etonnais comment le petit magasin de mots rassemblés dans ma mémoire avait pu suffire a'tant d'idées.

Nous quittames la ville a'trois heures du matin embarqués dans une grande voiture que l'on appelle ici public etoge ou ilying machines, machines volantes. C'est la premiere fois que je me trouvais dans une voiture publique; cell-ci n'etait pas des plus commodes, d'autant plus que le chemin du pais est extremment pierreux et que les secousses sont terribles. Il faudrait ici se permettre quelques plaisanteries sur nos compagnons de voyage, pour vous sauver l'ennuy du chemin mais je n'ai pas le temps ni le loisir d'en faire, au reste il y a des gens dont on ne peut tirer aucun parti: ils sont dans la societé ce que les chimistes appelent caput mortuum et on ne peut s'en servir ni pour l'amusement ni pour l'instruction. Nos gens étaient de cette espèce et Mr. Vernon qui est une persifleur supportable les attaqua sans

---

dnym językiem. Zdarzało mi się często prowadzić kilkugodzinne rozmowy w kwestyach nader subtelnych z pierwszemi osobami państwa: zaledwie mogłem wybełkotać co po angielsku, jednak jeden wyraz wystarczał często do przedstawienia myśli i gdy po moim powrocie powtarzałem sobie rozmowę, dziwiłem się, jak taki mały zasób słów, zgromadzony w mojej pamięci, mógł wystarczyć dla tylu myśli.

Opuściliśmy miasto o trzeciej godzinie zrana, wsiadłszy do wielkiego powozu, który tutaj nazywają „ilying machine", maszyną latającą. Po raz pierwszy znalazłem się w publicznym powozie; nie należał on do najwygodniejszych, tem bardziej, że droga kraju była bardzo kamienista, a wstrząśnienia straszliwe. Trzeba było tutaj pozwolić sobie na kilka żartów z naszymi towarzyszami podróży żeby ochronić się od nudów drogi, nie miałem jednak wolnego czasu, by to uczynić; zresztą byli to ludzie, do których nie można się było przybliżyć; tacy są w towarzystwie tem, co chemicy nazywają *caput mortuum* i nie można się nimi posłużyć, ani by się zabawić, ani by się czego dowiedzieć. Ci właśnie byli tego rodzaju, a pan Vernon, który jest żartownisiem niepoślednim,

succés. Pour moi je n'avais aucune envie de rire, assis sur un banc très dur; balloté par des cahos terribles je m'occupais tristement de ma situation et ne pensais guères à tirer parti de celle des autres.

La matinée étant un peu trop fraiche nous restames avec nos stores levés et je ne vis le jour qu'à Bristol où nous arretames pour déjeûner. C'est une petite ville de Philadelphie; le stage y changea de chevaux. Après une courte pause et un assez mauvais déjeûner nous continuames notre route jusqu'à Ireniecon ferry où l'on passe la Delaware, elle est tout auplus large de trois portées de fusil; en passant le Bac on a la vue d'une maisson du colenel Coxe, dont la situation est charmante. En général les bords de la Delavare sont agréables, mais un peu trop plats et trop unis. Trentovn est tout près de là. C'est dans cette ville le 25 Décembre 1766 on fut surprise la brigade hessoise par l'activité du Glal. Washington et la négligence du C-te Rail. C'est ici une opinion universelle tant dans l'armée américaine que dans les troupes anglaises. La premiere idée de ce projet combiné est due an Gl. Lée, que son extrême inquiétude le perdit dans cette occasion; ayant été lui même reconnaître une maison dans

---

zaczepiał ich bez skutku. Co do mnie, to nie miałem najmniejszej chęci do śmiania się, siedząc na ławce bardzo twardej i wstrząsany straszliwemi stuknięciami, bawiłem się smutnie mojem położeniem i nie myślałem wcale, by się w ich towarzystwie rozerwać.

Poranek był zbyt świeży, lecz story nasze zostawiliśmy podniesione; dzień ujrzałem w Bristolu, gdzie zatrzymaliśmy się na śniadanie. Jest to małe miasto o osiem mil od Filadelfii; woźnica zmienił w niem konie. Po krótkiej pauzie i po dość lichem śniadaniu wyruszyliśmy w dalszą drogę aż do Irenieconferry, gdzie płynie Delavara; jest ona szeroka mniej więcej na odległość trzech strzałów. Minąwszy Bac. widzi się w czarującem położeniu dom pułkownika Coxe'a. W ogólności brzegi Delavary są przyjemne, jednak cokolwiek za płaskie i jednostajne. Tuż obok leży Trentovn. W tem to mieście 25 grudnia 1776 roku, dzięki dzielności generała Washingtona a niedbastwu księcia Raila, ujęto brygadę heską. Tutaj to wyrobiła się powszechna opinia zarówno o armii amerykańskiej, jakoteż o wojskach angielskich. Pierwszą myśl tego skombinowanego planu poruczono generałowi Lée, którego w tej okazyi zgubił nadzwyczajny niepokój: wyjechawszy sam na podjazd, z domu w Morris-Coumy wysłał do Washingtona posłańca,

le Morris Coumy, un expres qu'il envoyait au Gl. Washington fut surpris par le C-te Harcourt: cet indice le conduisit à la maison où Lée s'était arreté pour déjeûner est s'en rendit maître.

Le succées de Trentovn fut le premier avantage marqué que les Américains obtinrent sur les Anglais. Les prisoniers hessois furent conduits en triomphe à Philadelphie et le peuple des environs accourut pour contempler ces malheureux Allemands achetés si cher et venus de si loin. Et leur bravoure et leur férocité avaient répandu la terreur de leur nom et le peuple paci fique de Pensylvanie les regarda avec la même curiosité, qui caratérisa les Romains quand ils virent pour la premiere fois les terribles lions que Sylla avait amené d'Affrique. Entre Trentovn et Princetovn il n'y a rien de remarqable à moins que ce ne soit un grand. arbre à l'entour duquel d'enormes rochers forment une chambre appellée Rocky-Kouse; on allumait dessus des feux qui servaient de signal pour le ralliement de la milice de Jersey. Nous arrivâmes à Princetown à dix heures, vous savez

---

który został ujęty przez księcia Harcourta; wypadek ten zaprowadził tego ostatniego do domu, gdzie Lée zatrzymał się na śniadanie, i uczynił go panem położenia.

Potyczka pod Trentown była pierwszem znaczniejszem zwycięstwem, jakie Amerykanie odnieśli nad Anglikami. Jeńcy hescy zostali z tryumfem wprowadzeni do Filadelfiii, a ludność z okolic zbiegła się, by podziwiać tych nieszczęśliwych Niemców, okupionych tak drogo i przybyłych z tak daleka. Ich męstwo i okrucieństwo rozszerzały grozę ich imienia, a spokojny lud Pensylwanii spoglądał na nich z tą samą ciekawością, jaka cechowała Rzymian, kiedy zobaczyli po raz pierwszy straszne lwy, sprowadzone przez Sullę z Afryki. Między Trentown a Princetown niema nic godnego, prócz wielkiego drzewa, dookoła którego olbrzymie skały tworzą jakgdyby izbę, zwaną Rocky-Kouse; na wierzchu zapalano ognie, które służyły za znak do zbierania się milicyi Jersey'a. Przybyliśmy do Princetown o dziesiątej godzinie; wiesz pan, że

que le congrès y réside actuellement.[1]) J'appris avec plaisir que le Gl. Green etait logé à l'auberge où nous nons arrêtames et je retrouvais, je le connaissait déjà. C'est le seul Gl. americain (Washington exepté) qui ait réuni les sufrages des deux parties. Les Anglais le plus prévenus m'en ont toujours parlé avec estime. Ayant passé les premieres années de sa vie dans les paisibles occupations du commerce et dans la pacifique religion de Quakers il ceignit l'epée au premier indice de danger de sa partie: employé les premiers années dans le pénible et ennuyeux métier de quartier maître il fut fait général envoyé dans le sud où il déploya de grands talents et fut le principal instrument de l'evacuation de ces provinces; nouveau Marcellus, quelque fois battu jamais vaincu. il forca le victorieux Cornvallis[2]) à quitter la Coroline du sud et obligé milord Rawdon à rentrez dans Charlestown. Sa modestie

[1]) Princetown est remarquable par la défaite de trois régiments anglais que le Gl. Washington surprit par une marche savante, qu'il déroba au lord Cornvallis en présence du quel il était campé a Trentown.

[2]) Cornvallis venant de mettre en déroute l'armée du Gl. Gates.

odbywa się tam obecnie kongres.[1]) Dowiedziałem się z przyjemnością, że jenerał Green zamieszkał w zajezdnym domu, gdzie zatrzymaliśmy się i przypomniałem sobie, że już go znam. Jest to jedyny generał amerykański (wyjąwszy Washingtona), który zyskał pochwały z obu stron. Najbardziej uprzedzeni Anglicy opowiadali mi o nim zawsze z szacunkiem. Zajęty w początkowych latach swego życia handlem i spokojną religią Kwakrów, przypasał szpadę za pierwszym znakiem, że ojczyzna w niebezpieczeństwie; powołany w pierwszych latach na trudne i nudne stanowisko kwatermistrza, został generałem, a wysłany na południe, wykazał wielkie zdolności i stał się główną sprężyną powstania w tych prowincyach; nowożytny Marcellus, ile razy w boju, nigdy niepokonany, zmusił zwycięskiego Cornvallisa[2]) do opuszczenia na południu Coroliny i zniewolił milorda Rawdona do powrotu do Charlestown.

[1]) Princetown jest pamiętne klęską, jaką generał Washington przez mądry marsz zadał trzem angielskim regimentom, które oddzielił od lorda Cornvallisa, w obecności którego rozłożył obóz w Trentown.

[2]) Cornvallis szedł zadać klęskę armii generała Gates.

est egale à son mérite, et la douceur de son caractère et une education plus soignee que n'est celle de la plus part des généraux américains en a fait un homme très aimable. Je me proposais d'aller voir le Gl. Washington à Rocky-hill maison de campagne où il demeure jusqu'a ce que les affaires de l'armée soyent terminées et que le gouvernement ait pris une assiette convenable. Le Gl. Green étant dans la mène intention, nous y allames ensenble; il faisait un temps affreux, mais l'espérance de voir un grand homme me fit supporter la pluye patiemment. Je ne me souviens point d'avoir eu quelque satisfaction dans ma vie sans l'acheter par des sacrifices et jamais la fortune n'a ete assez libérale avec moi pour m'accorder gratis ses faveurs. Le marquis de la Fayette m'avait donné une lettre pour son ami et je savais qu'avec cette recommendation je ne serais pas mal reçu; d'ailleurs dans des occasions pareilles ou rassemble toutes ses forces, ou fait l'appel géneral de tous ses esprits pour ne pas paraître pigmée devant un homme supérieur.

Je ne vous ferai point de portrait de notre heros, il vous est assez connu par ses actions, je remarquerai seulement que c'est le seul homme du continent dont l'opinion pourrait avoir

---

Jego skromność jest równa jego zasłudze, a łagodność charakteru i bardzo staranne wykształcenie, jakie się nie spotyka u większości amerykańskich jenerałów, uczyniło go człowiekiem bardzo miłym. Postanowiłem sobie pójść ujrzeć jenerała Washingtona w Rocky-hill, w domu wiejskim, gdzie mieszka, dopóki czynności armii nie ukończą się, a rząd nie zajmie odpowiedniego stanowiska. Jenerał Green miał ten sam zamiar, więc wybraliśmy się tam razem: czas był okropny, jednak nadzieja ujrzenia wielkiego człowieka kazała mi znieść słotę cierpliwie. Nie przypominam sobie wcale, bym miał kiedykolwiek jakie zadowolenie w życiu, nie okupiwszy go poprzednio ofiarami, a fortuna nie była nigdy dla mnie tak szczodrą, by mię kiedy obdarzyć darmo swojemi łaskami. Markiz de la Fayette dał mi list do swego przyjaciela, wiedziałem więc, że z takiem poleceniem nie będę źle przyjęty: zresztą w podobnych okolicznościach zbiera się wszystkie swoje siły, pobudza się wszystkie zmysły do działania, by tylko nie okazać się pigmejem przed tak wielkim człowiekiem.

Nie dam panu wcale portretu naszego bohatera; jest on bowiem dość znany dzięki swoim czynom, zaznaczę tylko, że jest to jedyny w świecie człowiek, którego głos ma zawsze znaczenie,

quelque poids soit dans les assemblées publiques de différents etats soit au congrès.

Le mérite de tous les autres ne leur acquére de considération et ne leur donne de l'influence que dans leur propre provinces; et ils sont comme ces monnaies fictives qui marquées d'un certain signe représentent une grande valeur dans un pays et ne valent rien hors de ses l'imites. La jalousie de différents etats ne permet même pas à une réputation de s'etendre.

Tous les portraits que j'ai vu en Europe du géneral W... ne lui ressemblent guères. C'est un des plus beaux hommes que j'ai jamais rencontré; son port est noble, son air guerrier et ses manières aisées. Sa politesse réservée au premier abord finit par être infiniment agréable et on ne s'aperçoit pas au bout de deux heures, qu'on vient de faire connaissance avec lui. Quoique j'eusse grande envie de l'entendre causes sur la derniere guerre et lęs affaires du temps passé, il eut été déplacé de commencer par la la conversation. J'evitai même les louanges grossiers et j'epiais l'occasion où l'ou peut raisonnablement placer quelque chose d'obligeant. J'ai remarqué plus d'une fois que la vanité

---

czy to na publicznych zgromadzeniach rozmaitych stanów, czy to na kongresach.

Zasługa wszystkich innych nie przysparza im poważania i daje im wpływ tylko w ich własnych prowincyach; są oni jak gdyby podrabiane pieniądze, które posiadając odpowiednią cechę, przedstawiają wielką wartość w kraju, a poza swojem podrobieniem nic więcej nie są warte. Zawiść rozmaitych stanów nie pozwala nawet na rozszerzenie się ich sławy.

Wszystkie portrety jenerała Washingtona, jakie widziałem w Europie, nie są prawie nic do niego podobne. Jest to jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem: jego postać jest szlachetna, wojownicza mina, a maniery swobodne. Grzeczność z jego strony, okazywana od pierwszej chwili spotkania się aż do ostatka, podobała mi się niesłychanie i przy końcu dwu godzin nie można było spostrzec, że się go dopiero co poznało. Mimo, że miałem wielką chęć usłyszeć o przyczynach ostatniej wojny i o sprawach publicznych z ubiegłego czasu, uniknął on takiego rozpoczęcia rozmowy. Strzegłem się natarczywych pochwał, a czekałem sposobności, by móc słusznie włączyć gdzie kilka grzecznych słów. Zauważyłem nie raz, że próżność ludzi najskrom-

des hommes les plus modestes résistait rarement à un compliment vraiment flatteur et que la réserve la plus enveloppée s'epanouissait à la douce action d'un encens présenté à propos; mais la conversation devint si générale et roula sur des sujets si eloignés qu'il me fut impossible de l'y amener sans affectation. Mais la réserve en général est un très grand talent surtout pour les gens médiocres qui ont en quelque succés, elle leur donne des avantages infinis sur les gens qui veulent les sonder, elle impatiente ceux qui veulent vous découvrir, embarasse les plus fins et souvent les engage plus loin qu'ils ne veulent; si elle ne donne point une grande idée de votre mérite, elle empêche au moins qu'on ne devine le peu que vous en avez. Nous avons toujours du respect (a dit qulqu'un) pour les choses que nous ne connaissons pas; la réputation des grands hommes et comme le crédit parmi les banquiers, où souvent celui qui n'a aucun outres peu de fond réel, fait les affaires les plus considerables; mais les hommes d'un mérite réel sont comme ces généraux surs de vaincre qui montrent les dispositions de leur camp ou celles de leur armée aux espions de l'ennemie.

---

niejszych, rzadko opiera się komplimentowi naprawdę pochlebnemu i że skromność najbardziej rozwinięta daje zwolna ucho pochwałom, pojawiającym się w samą porę; jednak rozmowa stała się tak ogólną i zeszła na tematy tak dalekie, że było mi niemożliwem prowadzić ją bez przymusu. Lecz skromność w ogólności jest bardzo wielkim darem przedewszystkiem dla jednostek miernych, którym się coś udało: ona daje im nieskończoną przewagę nad ludźmi, którzy chcą ich wybadać, niecierpliwi tych, którzy pragną w was coś wykryć, nabawia kłopotu najbardziej chytrych i często zapędza ich dalej, aniżeliby sobie tego życzyli; jeżeli nie daje wcale należytego pojęcia o waszej zasłudze, to przynajmniej przeszkadza, by nie odgadnięto, jak mało jej posiadacie. Mamy zawsze poważanie, powiedział ktoś, dla rzeczy, których nie rozumiemy; sława wielkich ludzi jest jak kredyt między bankierami, gdzie często ten, który nie ma żadnego, prócz jakiego takiego, oparcia rzeczywistego, robi interesy najznaczniejsze; jednak ludzie o istotnej zasłudze są, jak ci jenerałowie, pewni wygranej, którzy pokazują położenie swego obozu lub armii szpiegom nieprzyjaciela.

Nous... à parler de mon voyage et il m'offrit des lettres pour le général Knox à West point pour le général Schnyler à Albany; je les acceptai en lui disant que cette excursion au nord n'était qu'un incident et que le but de mon voyage était de voir et de connaître le fondateur principal de la liberte américaine. Il m'engagea à venir passer quelques jours à sa campagne de Mouvernon en Virginie et le quittai avec d'autant plus de regret que je n'avais guères d'espérance de le revoir. Je retournais à Princetown très fatigué mais bien content de ma journée.

Le 9. Oct.

Nous commençâmes notre journée en allant déjeûner avec Mr. Tompson secrétaire du congrès. C'est un homme qui pour la simplicité et la tournue peut-être placé entre un patriarche et un paysan, peut-être tient-il de l'un et de l'autre. J'eus le temps de décider du mérite de son déjeûner, sans avoir celui de m'apercevoir du sien; il doit être considérable, puisqu'il a été constam-

---

Poczęliśmy mówić o mojej podróży, a on wręczył mi listy do gnerała Knoxa w West-point i do jenerała Schnylera w Albany; przyjąłem je, mówiąc, że ta wyprawa na północ była tylko przypadkowa i że celem mojej podróży było zobaczyć i poznać głównego twórcę amerykańskiej wolności. Zapraszał mnie jeszcze, bym przepędził kilka dni w jego wsi Monvernon w Virginii; opuściłem go z żalem, tembardziej, że nie miałem nadziei ujrzeć go znowu kiedykolwiek. Powróciłem do Princetown bardzo znużony, jednak pełen zadowolenia z dnia tak przepędzonego.

9 października.

Rozpoczęliśmy dzień udaniem się do pana Tompsona, sekretarza kongresu, na śniadanie, Jest to człowiek, który z powodu swojej prostoty i noszenia się może zająć miejsce pośrednie między patryarchą a wieśniakiem i zarówno dobrze można go wziąć za pierwszego jak drugiego. Miałem czas wyrobić sobie zdanie o zaletach jego śniadania, nie mogąc spostrzec jego własnych;

ment, même dans les temps les plus difficiles secrétaire du congrès.

On a une charmante vue de la maison où il loge et les sanglantes collines de Monmonth forment un point de vue assez intéressant.

Nous quittâmes à Princetown à 10 heures et après avoir diné à Brunswick qui a été pendant longtemps le quartier de l'armée anglaise, nous passâmes le Rareton et nous arrivâmes à Elizabeth-town au coucher du soleil.

Le pays le long du Rareton est assez cultivé: on rencontre souvent des fermiers aisés, mais il est susceptible d'une population infiniment plus considérable et pourrait suffir à la subsistance de six fois plus de monde. Le mot de „farmer“ ne se traduit pas par celui de fermier, mais je suis sûr que vous ne les confonderez pas. En général quand on croit en Europe que l'Amérique est peuplée on se trompe de beaucoup. Sur une côté de 450 lieues profonde indifférents endroits a 300, le calcul le plus exagére ne fait monter la population qu'a trois millions d'hommes. Pour peupler supportablement l'immence pays que les Etats Unis ont acquis par le dernier traité, trente millions

---

sądzę, że muszą być one znaczne, gdyż on stale, nawet w czasach najbardziej krytycznych, był sekretarzem kongresu.

Z domu, gdzie mieszka, roztacza się przepyszny krajobraz, a krwawe pagórki Mounmonth tworzą widok dość ciekawy.

Opuściliśmy Princetown o dziesiątej godzinie, a zjadłszy obiad w Brunswicku, który przez dłuższy czas był kwaterą armii angielskiej, minęliśmy Rareton i z zachodem słońca stanęliśmy w Elizabeth-town.

Kraj wzdłuż Raretonu jest dość uprawny, spotyka· się tam często majętnych osadników: jednak jest on wstanie pomieścić daleko więcej ludności i mógłby wystarczyć na wyżywienie sześć razy tak licznych mieszkańców. Wyraz „farmer“ nie tłumaczy się przez „fermier“ (osadnik), lecz jestem pewny, że się pan w tem nie pomyli. Wogóle jeśli sądzą w Europie, że Ameryka jest zaludnioną, to mylą się bardzo. Na wybrzeżu o obszarze 450 mil i w innych miejscach, liczących około 300 mil, rachunek najbardziej przesadny nie wykaże ludności więcej ponad trzy miliony. Żeby zatrudnić jako tako ogromny kraj, jaki Stany Zjednoczone zyskały w ostatnim traktacie, wystarczyłoby zaledwie trzydzieści

d'hommes suffirait à peine. Il est vrai que la plus part de ces colonies ne sont guères agées de plus de 100 ans; chaque habitant de champs qui a exploité une certaine quantité de terrein possede une bonne maison, plusieurs têtes de bétait, au moins deux chevaux et une vingtaine de montons; il a un verger planté de pommiers et semé de mais; les champs cultives sont fermés par des forêts qui s'elevant en amphithéâtre et étant pour ainsi dire découpés par une exploitation irréguliere offrent à l'veil une varieté d'angles et de simosité qui l'amuse sans le fatiguer. Les arbres d'ailleurs paraissent dans ces mois-ci colorés de rose; le pourpre, le jaune, le verd, le blanc se mélangent ensemble et produisent des effets bizarres et agréables. En arrivant à Elizabetown la vue s'etend infiniment d'avantage: on aperçoit Amboy, la mer, le Sandy-Hook et les terres de Never-sink, les premières hautes qu'on rencontre dépuis la Floride.

Nous voulions ce soir même aller à New-York mais nous ne pumes pas trouver de bateau et nous fumes s'obligés de passer la nuit ici. Je couchais dans une chambre où l'on avait volé huit jours auparavent un Français, mais volé de manière, qu'il ne lui resta que la chemise sur le corps. Dépuis la paix les sol-

---

milionów ludzi: Prawdą jest, że największa część osad nie liczy więcej, jak po sto lat; każdy mieszkaniec na roli. który wykorczował pewną ilość ziemi, posiada dobry dom, kilka sztuk bydła, przynajmniej parę koni i pięćdziesiątkę baranów; ma on sad zasadzony jabłoniami i zasiany kukurydzą. Uprawne pola zamknięte są lasami, które wznosząc się amfiteatralnie i będąc, jakby się można wyrazić, poprzecinane przez nieregularne korczowanie dają oku różnorodność, która bawi, nie nużąc wcale. Drzewa wreszcie w obecnych miesiącach wydają się być koloru róży; barwa purpurowa, żółta, zielona i biała mieszają się razem i sprawiają wrażenie dziwaczne a miłe. Po przybyciu do Elizabeth-town widok rozszerza się nieskończenie daleko: spostrzega się Amboy, morze, Sandy-Hook i ziemię Newer-sink, pierwsze wyniosłości, jakie się napotyka od Florydy.

Jeszcze tego wieczora chcieliśmy udać się do New-Jorku, jednak nie mogliśmy znaleść łodzi, wskutek czego zostaliśmy zmuszeni przepędzić noc tutaj. Spałem w pokoju, gdzie przed ośmioma dniami okradli jakiegoś Francuza i to okradli do tego stopnia, że został się tylko w jednej koszuli. Od czasu zawarcia pokoju żoł-

dats congédiés et différentes espèces de vacabonds commettent des vols très fréquemment enfoncent les maisons et les pilent. Nous lumes sur notre chemin plusieurs affiches qui promettaient des récompenser considérables aux personnes qui découvriraient une bande de voleurs qui avaient enfoncé plusieurs boutiques et enlevé une quantité de marchandises.

Le 10. Oct. à dix heures un petit cabriolet transporta nos éffets au rivage qui est eloigné d'Elizabeth-town de deux petites milles; le vent et la marée étant favorables nous eumes bientôt dépassez Staten et Pory-Island et dans moins de deux heures nous arrivâmes à New-York. Il est difficile d'imaginer un plus beaucoup d'oeil que celui que l'on a en abordant à cette ville. Elle s'eleve majestueusement en amphithéâtre et ses ruines même ajoutent à sa beauté; les terres des deux côtés présentent une perspective variée, la culture dans toute sa perfection et la nature sauvage dans toute sa majesté occupent alternativement. Longua-Island et présentent à l'oeil des contrastes satisfaisants: la côté opposée du Jersey herissént de rochers menaçants et d'arbres respectables par leur vétusté, leur hauteur est digne de ses premiers habitants. La Baye était remplie de vaisseaux de

---

nierze, uwolnieni od służby, i rozmaitego rodzaju włóczęgi, rozpoczęli szereg bardzo śmiałych kradzieży, włamując się do domów i okradając je. Czytaliśmy po drodze wiele ogłoszeń, w których obiecują znacznie wynagrodzić osoby, mogące wykryć bandę złodziei, którzy włamali się do kilku sklepów i zabrali wiele towarów.

Dziesiątego października o dziesiątej godzinie mały wózek przywiózł nasze rzeczy na brzeg, oddalony od Elizabeth-town o niespełna dwie mile; wiatr i morze sprzyjało nam, to też wkrótce minęliśmy Staten i Pory-Island i w niecałych dwu godzinach przybyliśmy do New-Yorku. Trudną jest rzeczą wyobrazić sobie piękniejszy widok ponad ten, jaki się ma przed sobą, zbliżając się do tego miasta. Wznosi się ono majestatycznie w kształcie amfiteatru, a nawet zwaliska jego dodają uroku; ziemia po obu stronach przedstawia widok rozmaity; w pełnej doskonałości kultura i dzika w całej swej okazałości przyroda zajmują na przemiany. Wyspy Longna-Island tworzą zadowalające dla oka kontrasty: po przeciwnej stronie Jersey piętrzą się groźne skały, a drzewa poważne swoją starością i wysokością godne są swoich pierwotnych mieszkańców. Zatoka była zapełniona angielskimi okrętami wojen-

guerre anglais et le pavillon britannique flottait encore sur le fort. Nous vimes dans les Narrouc plusieurs batiments qui faisaient voiles pour différentes destination ils étaient pleins des malheureux royalistes ils etaient obligés de quitter New-York. Une tempête arrivée quelques jours avant avait fait perir un vaisseau qui allait dans la baye de Frendy: deux cents réfugiés s'y etaient embarqués, il ne s'en sauva que 14. et ce ne furent pas les' plus heureux. Il n'y a point de plus grande infortune, que celle d'abandonner sa patrie malgré, soi de recouvrir à ses parents, ses amis, ses habitudes, de quitter la maison, qu'on a bâti, la terre, qu'on a cultivé. le gouvernement dont ou a joui pour aller dans un pays inconnu exploiter un sol ingrat et de citoyen devenir sujet.

Le 11. Oct.

Nous trouvames difficultés à nous loger à notre arrivée. toutes les auberges etaient pleines de Torys fuyant la persécution de leurs compatriotes. Il régnait une tristesse tant parmi les

---

nymi. a bandera Wielkiej Brytanii powiewała jeszcze na forcie. Ujrzeliśmy w Narrouc wiele budynków, przeznaczonych do rozmaitych celów; były one pełne nieszczęśliwych rojalistów, którzy musieli opuścić New-York. Przed kilkoma dniami burza zniszczyła okręt, zdążający do zatoki Frendy; z dwustu wygnańców, którzy byli na jego pokładzie, ocaliło się tylko czternastu, ale i ci nie należeli do najszczęśliwych. Niema bowiem wcale większego nieszczęścia, jak, gdy się jest zmuszonym, porzucić własną ojczyznę, rozłączyć się z rodzicami, z przyjaciółmi, z codziennemi nawyknieniami, opuścić dom, który się zbudowało, ziemię, którą się uprawiało. rząd, z którego się było zadowolonym, by udać się do kraju nieznanego, uprawiać ziemię niewdzięczną i stać się obywatelem poddanym.

11. października.

Napotkaliśmy na wielkie trudności. szukając po naszem przybyciu mieszkania; wszystkie zajezdne domy zostały zajęte przez Torysów, uciekających przed prześladowaniem własnych współ-

restes de l'armée anglaise que parmi le peuple de New-Yorck et les ruines des plus beaux edifices incendiés les statues du roi et du lord Chatham renversées et mutilées, les maisons et boutiques vuides et abandonnees ajoutaient au sombre du tableau. Le général C... N.,. commandant en chef est extrèmement difficile sur l'admission des etrangers dans la ville.: ille a refusé à plusieurs officiers français la permission de la voir. Je ne savais pas que ces précautions superflues pendant la paix s'etendaient à toutes sortes d'etrangers, mais ayant été voir la parade, je reçus un message de la part Sl..., qui me marquait son etonnement de ce que j'ai entré dans la ville sans sa permission. Je m'en etonnais à mon tour de ce qu'il s'etonnait et je lui fit représenter que n'ayant pas eu l'honneur de servir contre l'Angleterre et etant citoyen d'un pays, qui n'a jamais été ni ne sera probablement en guerre avec S. Majesté britannique, qui même n'a point accédée à la neutralité armée il etait injuste de me comprendre dans la défense; apparemment que ces raisons firent impression sur l'esprit de cet ombrageux, car je n'en entendis plus parler. Le général Clarke avec qui je fis connaissance me consola de cette brusquerie par une réception infiniment prévenante. C'est un

---

ziomków. Wielki smutek panował między resztkami angielskiej armii, jakoteż między ludnością New-Yorku, a gruzy najpiękniejszych popalonych budynków, obalone i potłuczone posągi króla i lorda Chatham, próżne i opustoszałe domy i sklepy uzupełniały posępność obrazu. Jenerał C... N..., naczelny komendant, robił wielkie trudności w przyjmowaniu cudzoziemców do miasta: wielu oficerom francuskim odmówił pozwolenia do zwiedzania. Nie wiedziałem, że te środki ostrożności, zbyteczne w czasie pokoju, każdego rodzaju obejmują cudzoziemców, to też gdy przypatrywałem się wojskowej paradzie, otrzymałem wiadomość ze strony jenerała Sl., który wyrażał mi swoje zdziwienie, że wszedłem do miasta bez jego pozwolenia. Z kolei ja się zdziwiłem, że on się temu dziwi i kazałem mu przedstawić, że nie miałem zaszczytu służyć przeciwko Anglii, a będąc obywatelem kraju, który nigdy nie był i z pewnością nie będzie w wojnie z Jego Majestatem, królem angielskim, kraju, który nie ogłosił nawet neutralności swojej armii, zostałbym niesłusznie takim zakazem dotknięty: powyższe wywody uczyniły zapewne wrażenie na jego podejrzliwym umyśle, gdyż nie słyszałem, by więcej co mówił. Jenerał Clarke, którego poznałem, wynagrodził mię za tę porywczość nadzwyczaj uprzej-

homme de qualité et un officier de grande distinction; il a servi en Amérique dépuis le commencement de la guerre et a en part à presque toutes activus de conséquence.

---

mem przyjęciem. Jest to człowiek niezwykle godny i oficer bardzo poważany; służył w Ameryce od początku wojny i brał czynny udział prawie we wszystkich operacyach wojennych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".